

DOREEN OWENS

MALEK

Tatuś wybiera

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wczesnie rano obudził Carol jakiś przeraźliwy łomot. Z początku nie była pewna, czy to sen, czy jawa. Z trudem nawet przypomniała sobie, gdzie jest.

Tak, to letni dom, który dostała w spadku po ojcu. Spędza w nim lato, przygotowując się do egzaminu adwokackiego.

A ten stukot dobiegający z dachu? Carol spojrzała na budzik i westchnęła ciężko. Było dziesięć po siódmej.

O takiej nieludzkiej porze jakiś idiota siedzi na jej dachu i czyni taki hałas, który obudziłby umarłego, a co dopiero przepracowaną studentkę prawa.

Carol zerwała się z łóżka, zdecydowanym krokiem ruszyła ku drzwiom i... z całej siły walnęła bosą stopą w stojące na środku pokoju pudło. Klnąc pod nosem, narzuciła szlafrok i powlokła się dalej.

Domek składał się z dużego salonu z kamiennym kominkiem, kuchni i jadalnego aneksu oraz dwóch sypialni, umeblowanych starymi, ratanowymi meblami. Coraz bardziej wściekła, Carol wyszła na ganek i stanęła oko w oko z jakimś zaskoczonym robotnikiem.

- Co się tu dzieje? - krzyknęła.

Mężczyzna przez chwilę przyglądał się jej zaspanej twarzy, bosym stopom i byle jak zawiązanemu szlafrokowi.

- Ten dom miał być pusty - rzekł w końcu niepewnie.

- Ale nie jest - warknęła Carol, biorąc się pod boki. Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

- Czy zechce mi pan wyjaśnić ten piekielny hałas w środku nocy? - zażądała w końcu Carol.

- Robimy remont - odparł robotnik. - Kładziemy nowy dach i budujemy nową werandę.

- Mowy nie ma. Jestem właścicielką tego domu i nie zlecałam żadnych napraw, może się więc pan stąd wynosić, razem z tym kretyńcem z dachu.

- Może lepiej porozmawia pani z szefem - przerwał jej mężczyzna.

- Z kim?

- Z tym kretyńcem na dachu.

Kulejąca Carol zeszła po schodkach na trawnik. Ze zdziwieniem zauważyła przed domem dwie półciężarówki i krzątających się kilku mężczyzn. Spojrzała na dach i na tle porannego słońca ujrzała odwróconego do niej tyłem szczupłego, wysokiego mężczyznę, klęczącego i walącego młotem w blachę.

- Może pan przerwać na chwilę? - zawołała. Walenie nie ustawało.

Carol powtórzyła swe pytanie. Bez rezultatu. Zwinęła więc dłonie w tubkę i wrzasnęła co sił w płucach:

- Hej tam!

Mężczyzna odwrócił się, spojrzał na nią, odłożył młotek i zgrabnie zeskoczył na dół. Wylądował tuż przed nią.

- Czym mogę pani służyć? - spytał, splatając ręce na piersi.

Miał na sobie granatową koszulkę, ciasno opinającą szerokie ramiona i szczupły tors. Sprane dżinsy podkreślały wąskie biodra. Błękitne oczy patrzyły na nią ze zdumieniem.

Carol odchrząknęła.

- Chciałabym wiedzieć, co pan i pańscy ludzie robicie na moim terenie - powiedziała ostro.

- Remontujemy dom.

- To widzę. Ale to mój dom, a ja nikogo o to nie prosiłam.

Mężczyzna wzruszył ramionami i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął kawałek papieru.

- O ile się nie mylę, nie jest pani George'em Lansingiem - rzekł, spoglądając na kartkę.

- Jestem jego córką.

- Widzę, że nieczęsto się pani z nim komunikuje. Dwunastego maja zawarłem z nim kontrakt na te naprawy. Miałem zacząć dzisiaj i skończyć do piętnastego sierpnia.

- Mój ojciec nie żyje.

- Bardzo mi przykro, ale ten kontrakt nadal jest ważny - odparł spokojnie mężczyzna.

Dopiero teraz Carol zauważyła jego gęste blond włosy, spłowiałe od słońca, i opaloną na ciemny brąz twarz.

- O czym pan mówi? To teraz mój dom, a ja nie chcę tu żadnych napraw!

- Po śmierci pani ojca jego spadkobiercy muszą wywiązać się z zawartych przez niego umów.

- To ja jestem jego spadkobierczynią i chcę, żeby się pan stąd wyniósł! - krzyknęła coraz bardziej wściekła Carol.

Mężczyzna obronnym gestem uniósł obie ręce.

- Proszę na mnie nie wrzeszczeć. Ja tylko staram się pani wyjaśnić sytuację. Zawarłem kontrakt, zacząłem pracę, chcę ją skończyć i w odpowiednim czasie dostać zapłatę.

- Chwileczkę, panie...

- Kirkland. Nazywam się Taylor Kirkland.

- No więc, panie Kirkland, odziedziczyłam ten dom po nagłej śmierci mego ojca pod koniec maja. Nic mi nie mówił, że chce cokolwiek wyremontować, może to miała być niespodzianka, ale ja chcę sprzedać ten dom i nie mam zamiaru w niego inwestować. Spędzę tu tylko lato, przygotowując się do egzaminu adwokackiego, i od razu jesienią wystawię dom na sprzedaż. Wynajęłam komuś moje nowojorskie mieszkanie, więc sam pan rozumie, że przez najbliższe dwa miesiące muszę tu zostać, a hałas, jaki pan czyni, uniemożliwia jakąkolwiek koncentrację. Proszę więc zabrać swoich ludzi. Za ten dzień wam zapłacę.

- Mowy nie ma - odparł Kirkland, wyjął z jej ręki kontrakt i schował z powrotem do kieszeni. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku domu.

- Co to ma znaczyć? - krzyknęła za nim Carol.

- Zrezygnowałem z innych kontraktów, wynajęłam dodatkowych ludzi i mam zamiar skończyć tę robotę.

- Ale ja nie chcę, żeby pan ją kończył! - powiedziała wyraźnie jak do słabo słyszącego Carol.

- To już pani problem.

Mężczyzna z gracją pomyślił się po rynnie na dach. Carol nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- A jeśli wezwę policję? - wrzasnęła.

- Niech pani wzywa. Pokażę Tomowi mój kontrakt i wyjdzie pani na idiotkę - oznajmił, wziął młotek i wrócił do pracy.

Przerażający łomot uniemożliwił dalszą rozmowę.

- Może pan powiedzieć swemu szefowi, że jeszcze dziś skontaktuję się z adwokatem - poinformowała jednego z robotników Carol.

Mężczyzna poczekał, aż zamkną się za nią drzwi i wspiął się na dach.

- O co tu chodzi, Tay? - spytał szefa. - Nasza gospodyni jest wściekła.

- Chce nas stąd wyrzucić, ale zostaniemy - odparł spokojnie Tay.

- Co?

- Zawarłem kontrakt z ojcem tej paniusi, ale umarł. Ona odziedziczyła ten dom i chce się nas pozbyć.

- A może?

- Nie bez kłopotów. Miałem już taką historię po śmierci starego Hendricksona. Wygrałem sprawę i jego dzieciaki musiały mi pozwolić dokończyć przebudowę domu. Teraz też nie zrezygnuję, dopóki nie zostanie mi to prawnie zakazane.

Mike wzruszył ramionami i pozwolił sobie na komentarz.

- Ale wiesz co, Tay? Chyba powinienesz szybko odwiedzić okulistę.

- A to czemu?

- Bo jeśli tak zgrabna brunetka jest dla ciebie paniusią, to powinienesz zacząć nosić okulary.

Tay uśmiechnął się pod wąsem i wrócił do roboty.

Wróciwszy do domu, Carol wzięła prysznic. Potem, owinięta jeszcze ręcznikiem, wykręciła numer adwokata swego ojca w Avalon, ale odpowiedziała jej tylko automatyczna sekretarka. Carol wyjaśniła, o co chodzi, i poprosiła prawnika o oddzwonienie. Później zrobiła sobie kawę i czekała w salonie na telefon. Dobiegający z dachu hałas uniemożliwiał naukę.

Na studiach nie specjalizowała się, co prawda, w prawie kontraktowym, ale była pewna, że uda się jakoś zmusić Kirklanda do przerwania remontu. Denerwowało ją tylko, że traci na to tyle cennego czasu.

Postanowiła spędzić lato w Strathmere, nadmorskim miasteczku w New Jersey, bo leżało na uboczu i było idealnym miejscem do nauki. W maju skończyła studia. Ojciec był na uroczystości wręczania dyplomów i dwa tygodnie później umarł. W spadku zostawił jej ten dom, w którym w dzieciństwie spędzała wakacje. Później, po śmierci matki, już tam nie bywała. Zbyt wiele wspomnień wiązało się z tym miejscem, więc ojciec zawsze je komuś wynajmował. Nie miała pojęcia, czemu w końcu postanowił dom wyremontować. W ostatnim roku swego życia spotykał się z Glorią i może chciał tu z nią przyjeżdżać. Carol dopiero po jego śmierci przypomniała sobie o istnieniu tego domu i uznała, że znajdzie w nim idealne warunki do nauki. Miała nadzieję, że po piętnastu latach wspomnienia nie będą już tak bolesne, i nie myliła się.

Strathmere, ze swymi drewnianymi domkami i jedną porządną ulicą, zamieszkane głównie przez rybaków, nie stanowiło turystycznej atrakcji. Nie było tu mola ani restauracji, a stali mieszkańcy, zresztą nieliczni, żyli tam od pokoleń. Dla Carol okazało się więc idealnym miejscem, gdzie z dala od świata mogła ślęczyć nad swymi książkami.

Nagle jednak znalazła się w pułapce, zastawionej przez hałaśliwą brygadę remontową, która ani myśli się wynieść.

A w dodatku jej szef jest taki niegrzeczny. Była zdecydowana pokazać mu, kto tu rządzi.

Dzwonek telefonu przerwał te bezproduktywne rozmyślania. Musiała przejść do kuchni, bo łomot uniemożliwiał rozmowę w salonie.

- Cześć, John - powitała Johna Spencera, wieloletniego adwokata swego ojca.

- W czym problem?

- Wszystko już wyjaśniłam twojej automatycznej sekretarce. Mam w domu brygadę remontową i chcę się jej pozbyć. Ich szef odmawia. Ani myśli przerwać robotę.

- Czyja to firma? - spytał John i Carol usłyszała szelest papieru. Adwokat wyraźnie robił notatki.

- Niejakiego Kirklanda.

- Taya Kirklanda? - zdziwił się John.

- Tak. Tak przynajmniej mi się przedstawił.

- To zazwyczaj bardzo rozsądny człowiek. - Carol prychnęła z odrazą.

- Niestety, nie tym razem.

- Ja też niczego nie rozumiem. Twój ojciec wcale mi nie wspominał, że chce remontować dom. Jeśli więc podpisał jakiś kontrakt, to bez mojej wiedzy. Wiesz co, zadzwonię do Kirklanda i zobaczę, co się da zrobić.

- W tej chwili jest na moim dachu - wyjaśniła sucho Carol. - Mam go zawołać?

- Po trzeciej zawsze kończy pracę i jest w swoim biurze. Wtedy z nim pogadam. Gdybyś zajrzała do mnie koło piątej, to może będę już coś wiedział.

- Dobrze. Do zobaczenia o piątej.

Carol odłożyła słuchawkę i podeszła do okna. Tay Kirkland stał przy swej ciężarówce i wydawał jakieś polecenia pracownikom. Jego włosy błyszcząły w słońcu prawdziwym złotem. Carol przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Później wróciła do sypialni i przejrzała ubrania, które przywiozła ze sobą z Nowego Jorku. Wybrała niebieską sukienkę z bolerkiem i lekkie sandały, które nie uciskały jej obitej stopy.

Postanowiła zaszyć się w salonie i udawać, że nie słyszy tego, co dzieje się na dachu domu. W końcu jakoś przeżyje ten jeden dzień. Po południu problem zniknie.

Ekipa remontowa odjechała punktualnie o trzeciej. Carol miała półtorej godziny błogostawionej ciszy, a potem ruszyła w drogę do Avalon. Otworzyła okna w aucie i cieszyła się delikatną, lekko słoną morską bryzą. W całkiem niezłym humorze zajęchała przed biuro Johna Spencera, mieszczące się w letnim domku w stylu wiktoriańskim tuż przy plaży. Kiedy jednak weszła do gabinetu adwokata i zobaczyła, kto w nim siedzi, dobry nastrój prysnął.

- Tay natychmiast tu przyszedł, kiedy zadzwoniłem do niego w twojej sprawie. - John prawidłowo odczytał wyraz twarzy Carol i uznał, że należy się jej wyjaśnienie. - Przyniósł ze sobą kontrakt.

Kirkland wstał na jej powitanie i usiadł dopiero, kiedy i ona usiadła.

W gabinecie zapanowało milczenie. Carol przyglądała się to jednemu, to drugiemu mężczyźnie.

Taylor Kirkland miał teraz na sobie ciemnoniebieski garnitur z tropiku, jasnoniebieską koszulę i granatowo-biały krawat. W jednej opalonej ręce trzymał dużą kopertę, drugą położył swobodnie na oparciu krzesła. Carol zauważyła, że włoski na jego palcach są prawie białe, a paznokcie nieskazitelnie czyste. Kolor koszuli ożywił błękit jego oczu. Włosy, uczesane na mokro, schły teraz i wiły się wokół uszu. Miliony kobiet na całym świecie spędzały długie godziny w salonach fryzjerskich, na próżno starając się nadać swym włosom taki właśnie kolor.

Carol spuściła wzrok.

John odchrząknął.

- To może przejdziemy do rzeczy - zaproponował.

- Bardzo chętnie - zgodziła się Carol.

- Przeczytałem kontrakt Taya i muszę przyznać, że wszystko jest w porządku - mówił dalej John. - Twój ojciec rzeczywiście zawarł kontrakt z firmą Taya na tę robotę. Termin rozpoczęcia prac ustalono na dziś. Zgodnie z prawem Tay może kontynuować prace.

Carol spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Nawet jeśli ja nie chcę? - John westchnął.

- Takie jest prawo, Carol. Ty akurat powinnaś to wiedzieć.

- A jeśli odwołam się do sądu?

- W tej zabitej dechami mieścinie sąd rzadko się zbiera. Najpierw będziesz musiała poczekać co najmniej tydzień, a potem i tak przegrasz.

- Więc mam pozwolić, by Kirkland skończył remont, którego nie chcę i na który nie mam pieniędzy, bo inaczej pozwie mnie do sądu i przez rok nie będę mogła domu sprzedać?

John w milczeniu zacisnął wargi. Oboje wiedzieli, że taka właśnie jest sytuacja.

- Dziękuję panu, panie Kirkland - powiedziała z sarkazmem Carol i wstała.

Milczący do tej pory Tay też szybko wstał i położył rękę na jej ramieniu. Carol drgnęła jak oparzona.

- Wcale nie chcę pani wykorzystać - rzekł cicho Kirkland. - Zatrudniłem dodatkowych ludzi, zrezygnowałem z innych kontraktów i włożyłem kupę forsy w materiały na remont pani domu. Jeśli teraz będę musiał przerwać pracę, nie odzyskam ani włożonych pieniędzy, ani tamtych kontraktów. Jeśli pozwoli mi pani dokończyć remont, poczekam na zapłatę, aż uda się sprzedać dom. John mówi, że posesje położone tak blisko morza są bardzo poszukiwane. A po remoncie dostanie pani za nią dużo więcej niż obecnie.

- Widzę, że sobie tu we dwóch wszystko obmyśliliście - zauważyła ironicznie Carol.

- To wcale nie tak - zaprotestował cicho Kirkland.

- A jak?

Tay na moment przymknął oczy.

- Wiem, że jest pani prawnikiem...

- Jeszcze nie, panie Kirkland, i wygląda na to, że dzięki pańskim młotom nieprędko nim zostanę.

- Ale ja naprawdę nie chcę sprawiać pani kłopotu, panno Lansing. Może się jakoś dogadamy?

Jego głos był cichy, prawie uwodzicielski. Carol nie mogła tego nie zauważyć.

- Na przykład? - spytała ostrożnie.

- Mógłbym zmienić rozkład i pracować od ósmej do czwartej, żeby mogła pani spać godzinę dłużej - zaproponował.

- A hałas?

Kirkland westchnął ciężko.

- Mógłbym używać specjalnych spinaczy zamiast młotków, uszczelnić czymś okna i drzwi, żeby hałas nie docierał do środka, a najbardziej hałaśliwe roboty wykonywać pod koniec dnia - odparł.

Carol popatrzyła na Johna. Widzisz, jak się stara? powiedziało jej jego spojrzenie.

Potem spojrziała na czekającego na odpowiedź Kirk-landa.

- No, dobrze! - Carol z rezygnacją opuściła ręce. John roześmiał się, a Kirkland pozwolił sobie na półuśmiech.

- Mimo wszystko czuję się wykorzystana - przyznała jednak Carol.

- Nie masz powodu - rzekł John. - Naprawdę po remoncie zarobisz na tym domu dużo więcej, nawet po odjęciu kosztów naprawy.

- John, ja to wiem - przerwała mu Carol. - W tej chwili jednak najbardziej mi zależy na ciszy niezbędnej do nauki, a nie na zarobku.

- Zrobię wszystko, żeby mogła się pani uczyć - zapewnił ją Kirkland.

Carol spojrzała na niego i zrozumiała, że naprawdę dotrzyma słowa.

- Podajcie sobie ręce na zgodę - zaproponował wspaniałomyślnie John, wyraźnie szczęśliwy, że nie będzie musiał zajmować się prawnymi aspektami tej sprawy.

Ręka Kirklanda była pełna odcisków i stwardniała od ciężkiej pracy, ale duża i ciepła. Drobną dłoń Carol prawie w niej utonęła.

- Bardzo się cieszę, że doszliśmy do porozumienia - rzekł z uśmiechem John. - A teraz wybaczenie, muszę was pożegnać. Żona już na pewno kroci pieczeń.

Kirkland uściśnął dłoń adwokata i spojrzał na Carol.

- Wobec tego będę jutro u pani o ósmej - powiedział i wyszedł.

- Zaczekaj chwilę, Carol, wyjdziemy razem - rzekł John, zamykając teczkę.

- Jak sobie dajesz radę? - spytał, kiedy schodzili po schodach. - Pewnie bardzo ci brak ojca.

- Owszem, ale jestem ostatnio tak zajęta, że fakt, iż ojciec nie żyje, nie dotarł jeszcze do mojej świadomości. Odkąd wyjechałam do szkoły, rzadko się widywaliśmy. Czasem tylko rozmawialiśmy przez telefon.

- Miałaś jakieś wiadomości od Glorii? Carol pokręciła głową.

- Boi się, że zakwestionuję zapisy, jakie ojciec zrobił na jej rzecz, ale ja wcale nie mam tego zamiaru. Może sobie zatrzymać wszystko, co jej dał, bylebym tylko nie musiała jej oglądać.

- Widzę, że za nią nie przepadasz. Carol wzruszyła ramionami.

- Kiedyś widziałam, że wpłaca do banku pieniądze ojca na swoje nazwisko i nie byłam tym zachwycona.

John ze zrozumieniem kiwnął głową.

- To pewnie dlatego nie powiedział mi o remoncie domu. Bał się, że będę próbował mu to wyperswadować.

- Dlaczego?

John spojrzał na nią niepewnie.

- Powiedz mi - poprosiła zdecydowanie Carol.

- Podejrzewam, że chciał podarować ten dom Glorii. Umarł, nie zdążywszy zmienić zapisu.

Carol milczała.

- Bardzo mi przykro - rzekł cicho John - ale uważam, że powinnaś o tym wiedzieć. Gloria może przedstawić świadków, którzy potwierdzą, że miał zamiar podarować go jej.

- A są tacy?

- Kto to może wiedzieć? Myślę jednak, że niewiele jej to da. Każdy sędzia uzna, że została aż nadto wynagrodzona.

Carol skinęła głową. Glorii zależy tylko na pieniądzach, jej wyłącznie na zdaniu egzaminu.

- Może zjesz z nami kolację? - zaproponował adwokat, kiedy podeszli do jego zielonego BMW. - Beth będzie zachwycona.

- Dzięki, John, ale muszę wracać do Strathmere. Jeszcze się nie rozpakowałam, a jutro od rana chcę zacząć naukę.

- Ale obiecaj, że wkrótce nas odwiedzisz.

- Na pewno.

John wrzucił teczkę na tylne siedzenie i usiadł za kierownicą.

- John, co wiesz o tym Taylorze Kirklandzie? - spytała Carol, kiedy włączył już silnik.

- Czemu pytasz?

- Przecież ma spędzić w moim domu całe lato, prawda?

- To spokojny człowiek, pilnujący swego nosa - odparł po chwili zastanowienia John. - Z tego, co wiem, sam stworzył swoją firmę. Jego ojciec był rybakiem. W sprawach zawodowych Tay ma opinię uczciwego i dokładnego. Bardzo się zdziwiłem, że masz z nim takie kłopoty.

- On wyraźnie postanowił wywiązać się z umowy, którą zawarł z moim ojcem.

- O to nie możesz mieć do niego pretensji.

- Szkoda - odparła Carol i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Na pewno nie zjesz z nami? - spytał John, spoglądając na zegarek.

- Nie, jedź już. I dzięki za pomoc.

- Zawsze do usług - odparł i zatrzasnął drzwi. Carol cofnęła się, by umożliwić mu wyjazd z parkingu. Podeszła do swego auta, którym Gloria tylko dlatego się nie zainteresowała, że było stare i niemodne. Usiadła właśnie za kierownicą, kiedy zakręciło jej się w głowie.

Od jak dawna nie jadła? Przerazona, uświadomiła sobie, że kolacja zjedzona poprzedniego dnia była jej ostatnim posiłkiem. Kłopoty z nieproszonymi gośćmi sprawiły, że zupełnie zapomniała o jedzeniu.

Zawrót głowy minął, ale Carol z doświadczenia wiedziała, że nie powinna w takim stanie prowadzić. John odjechał i nie mogła poprosić go o pomoc. Niedaleko stąd znajdowała się restauracja, w której kilka razy była z ojcem. Podobnie jak biuro Johna, mieściła się w odnowionym budynku w stylu wiktoriańskim. Pokoje parteru przerobiono na dużą jadalnię. Zazwyczaj konieczna tam była wcześniejsza rezerwacja, w środku tygodnia i o tak wczesnej porze mogła jednak liczyć na jakiś wolny stolik. Wysiadła z auta i chwiejnym krokiem przeszła przez ulicę.

Nie myliła się. W restauracji było pustawo, wybrała więc stolik stojący pod ścianą. Przeglądała właśnie kartę, kiedy usłyszała za sobą męski głos:

- Czyżby mnie pani śledziła?

ROZDZIAŁ DRUGI

Carol odwróciła się gwałtownie i ujrzała Taya Kirklanda. Był bez marynarki i krawata. Uśmiechał się do niej i zrozumiała, że żartuje.

- Myślałem, że zabrała się pani z Johnem.

- Nie, jechał do domu i nie chciałem mu się narzucać. Kiedy wsiadłem do auta, zrobiło mi się słabo i uznałam, że najpierw powinnam coś zjeść.

- Nic pani dziś nie jadła? - Carol pokręciła głową.

- Tak panią zaabsorbowała ta wstrętna ekipa remontowa, która najechała pani dom?

- Może pan uważać to za śmieszne, panie Kirkland, ale chyba nigdy nie próbował pan się uczyć w takiej kakofonii dźwięków.

- Proszę mi mówić: Tay. Nigdy nie byłem szczególnie pilnym uczniem, ale mogę się domyślić, że hałas, jaki robią moje narzędzia, niezbyt sprzyja koncentracji.

Carol milczała. Jakie to miłe z jego strony, że jest taki wyrozumiały, kiedy już i tak postawił na swoim.

- Chciałbym wszystko pani dokładniej wyjaśnić. Czy mogę się przysiąść na chwilę?

Carol wahała się i Tay od razu to zauważył.

- No, trudno - rzekł i chciał odejść.

Zanim Carol zorientowała się, co robi, nachyliła się i chwyciła go za rękę. Tay przystanął i spojrzał na nią zaskoczony.

- Niech pan zostanie - poprosiła i natychmiast tego pożałowała. Pod jego badawczym spojrzeniem czuła się bardzo nieswojo.

- Mogę usiąść? - spytał. Carol kiwnęła głową.

Kirkland usiadł naprzeciwko i ułożył łokcie na stole.

- Czy możemy sobie mówić po imieniu? - spytał. - Tak się dużo łatwiej rozmawia.

Carol znowu kiwnęła głową.

- Chciałbym ci wyjaśnić, czemu tak zdecydowanie nalegałem na wywiązanie się z tego kontraktu.

- Chyba już to zrobiłeś.

- Niezupełnie. Kiedy przed dziesięcioma laty rozpoczynałem działalność jako przedsiębiorca, trafiłem kilka razy na klientów, którzy wycofali się z umów, kiedy ja już zakupiłem materiały i zatrudniłem pracowników.

- To już mówiłeś - zauważyła ze zniecierpliwieniem Carol.

- Pozwól mi skończyć. To jeszcze nie wszystko. Muszę myśleć o przyszłości. W mojej branży nie można pozwolić sobie na opinię faceta, który tańczy tak, jak zagra mu klient, który nagle uznał za stosowne zmienić zdanie. Jest mnóstwo ludzi, którzy zamawiają jakąś robotę, a potem się wycofują, bo postanowili zamiast tego kupić nowe meble do salonu, wymienić samochód czy wybrać się na Majorkę.

- To nie ja zleciłam ci tę robotę, lecz ojciec.

- Wiem, ale z mojego punktu widzenia to wszystko jedno. Moja firma rozrasta się, ale i tak nie mogę sobie pozwolić na zamrażanie pieniędzy w materiałach czy płacenie ludziom za stracony czas. Carol milczała.

- Czy rozumiesz, o co mi chodzi? - spytał prawie błagalnie.

Carol jeszcze przez chwilę przyglądała się Kirklandowi w milczeniu. Czyżby naprawdę mu zależało, żeby nie była na niego zła? A może tylko boi się, że jednak w jakiś sposób uniemożliwi mu wywiązanie się z kontraktu?

- Wykonam znakomitą robotę i twój dom będzie wart majątek - dodał i Carol nie mogła się nie uśmiechnąć.

John twierdzi, że Kirkland to bardzo spokojny i porządny człowiek, ale jak dla niej zbyt przystojny, a wobec tego niebezpieczny.

Jakby czytając w jej myślach, Tay odsunął krzesło i wstał.

- To ja już chyba pójdę - rzekł.

- A może zostaniesz i zjesz ze mną? - poprosiła Carol. - Nie znoszę jadać sama - dodała, jakby chciała mu ułatwić podjęcie decyzji.

- Dobrze - zgodził się Tay, przerzucił marynarkę przez oparcie i usiadł.

- Byłeś już tu kiedyś? - Kirkland kiwnął głową.

- Co tu mają dobrego?

- Ryby, ryby i jeszcze raz ryby. Przede wszystkim zupa z krabów. Polecam też łososa z rusztu i pstrąga - odparł tonem prawdziwego znawcy.

- Czy chcą państwo już coś zamówić? - zainteresował się w końcu nimi kelner.

Tay spojrzał na Carol.

- Nie zajrzałaś nawet do karty - zauważył.

- Nie szkodzi. Zdam się na ciebie. Proszę o zupę z krabów i łososa z rusztu.

- Coś jeszcze?

Carol spojrzała na Taya.

- Dla mnie to samo z młodymi jarzynkami. Do tego butelka chablis.

Kelner uklonił się i odszedł.

- Często zapominasz o jedzeniu przez cały dzień?

- Nie. Niski poziom cukru mi nie służy. Mam wtedy zaburzenia wzroku i kręci mi się w głowie.

- Ja nigdy nie zapominam o posiłkach. Mój żołądek zawsze mi o nich przypomni - dodał z uśmiechem Tay.

- Mnie się to zdarza tylko wtedy, kiedy jestem czymś bardzo zajęta. Raz nawet zemdlałam podczas egzaminu z prawa cywilnego. Facet myślał, że to ze strachu.

- Chyba powinienem się cieszyć, że porównujesz mnie z takim ważnym egzaminem.

Carol na moment spojrzała mu prosto w oczy, potem szybko spuściła wzrok.

- A co to właściwie jest prawo cywilne?

- Istna męka. Prawdziwe Waterloo dla studentów pierwszego roku prawa. Wszyscy się go strasznie boją.

- Założę się, że dostałaś piątkę. - Carol spojrzała na niego zdziwiona.

- Dostałaś?

- Tak - odparła z westchnieniem.

Tay parsknął śmiechem. W tej samej chwili kelner postawił przed nimi miseczki z zupą.

- Wspaniała - powiedziała Carol, przełykając odrobinę gorącego płynu.

- Nie za ostra?

- Nie, w sam raz.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Lepiej się czujesz? - spytał Tay, kiedy miseczka Carol była już prawie pusta.

- Zdecydowanie.

- Przydałby ci się ktoś, kto by się tobą opiekował - rzekł cicho.

- Daję sobie znakomicie radę - odparła zdecydowanie Carol. - Mnóstwo ludzi zapomina o posiłkach i to wcale nie znaczy, że muszą mieć opiekuna.

Tay nie skomentował tej uwagi, lecz nalał wina do kieliszka.

Carol posłusznie upiła łyk.

- Czy w dzieciństwie spędzałaś tu każde wakacje?

- Odkąd ojciec kupił ten dom.

- Nie pamiętam cię z tamtych czasów - rzekł, jakby nie mógł w to uwierzyć.

- Wtedy byłam dla ciebie zbyt smarkata.

- Ale już nie jesteś.

Kelner zabrał brudne naczynia i wkrótce stanęło przed nimi główne danie.

- Jak oni hodują coś tak małego? - zdziwił się Tay, biorąc na widelec małą marchewkę.

- Nie mam pojęcia. A ryba jest wyborna.

- Cieszę się, że ci smakuje. Może w końcu zaczniesz jadać regularnie. Nie chcę, żebyś zemdłała na oczach członków mojej ekipy.

- Nie powinnam ci o tym mówić - zauważyła lekko zawstydzona Carol. - Miło się tu mieszka przez cały rok? - spytała, żeby zmienić temat.

- Tak, a dlaczego pytasz?

- W zimie musi tu być strasznie - szary ocean, szare niebo, puste plaże.

- Typowa opinia turystki - skomentował Tay. - W zimie bardzo przyjemnie spaceruje się po plaży.

- Jeśli jesteś Eskimosem.

- Jeśli, jak twierdzisz, lubisz ciszę i spokój. Widelec zamarł w ręku Carol w połowie drogi do ust.

Punkt dla Taya.

- Chodzi mi o to, że opuszczona, smagana wichrem plaża to bardzo przygnębiający widok - powiedziała cicho.

- Może dla malarza. Aleja lubię samotność. Lepiej mi się wtedy myśli. Kiedy wiosną zaczynają się tu zjeżdżać turyści, mam ochotę zaszyć się gdzieś wysoko w górach. Na szczęście Strathmere leży na uboczu. Nigdy nie mógłbym mieszkać w wielkim mieście.

- Nie lubisz strzelnic, loterii fantowych i hałaśliwych parad?

- Nie znoszę wesołych miasteczek - odparł Tay. - Czy zauważyłaś, że ludzie na wakacjach robią rzeczy, których nigdy by nie robili, będąc u siebie?

- Chodzi ci o paradowanie w słomianych kapeluszach i krótkich majtkach oraz robienie babek z piasku?

- Właśnie. I kto tu najczęściej przyjeżdża? Pijane nastolatki w starych, warczących samochodach i grubi sprzedawcy opon w koszulach w palmy.

Carol parsknęła śmiechem.

- To niezbyt pochlebna opinia. Zapominasz, że i ja byłam tu kiedyś turystką.

- Ty na pewno nie byłaś taka. Miałas tu swój dom i spędzałaś w Strathmere cały sezon. Ci najgorsi wpadają na tydzień lub dwa, przez cały czas są na bani, a potem zostaje po nich kupa śmieci i puszek po piwie.

- Czy mogę jeszcze czymś państwu służyć? - spytał kelner.

- Może pan to już zabrać - powiedziała Carol.

- Chcesz coś jeszcze? - spytał Tay.

- Nie, dzięki.

- Kawę, deser? - proponował kelner.

- Dla mnie tylko kawa - poprosiła Carol.

Czuła się jak na randce. Tay o wszystkim decydował, choć ich spotkanie było przecież przypadkowe.

- Czy lubisz to, co robisz? - spytała i przykryła dłonią kieliszek, bo Tay chciał jej dolać wina. - Będę prowadzić samochód.

- Chodzi ci o firmę? - spytał, odstawiając butelkę.

- Tak.

- Lubię swoją pracę. To ogromna satysfakcja, kiedy widzisz rezultat swoich wysiłków i wiesz, że to twoje dzieło. Miło mi jeździć uliczkami Strathmere i patrzeć na domy, które odremontowałem, upiększyłem, a czasem nawet ocaliłem od ruiny.

- Rozumiem.

- Czy ty, jako prawniczka, rozumiesz tak samo? Carol zastanawiała się przez chwilę.

- Prawo jest elastyczne. Może być źródłem dobra, ale i można go nadużyć.

- Trzeba chyba być bardzo ostrożnym.

- Owszem. Trzeba ostrożnie wybierać nie tylko klientów, ale i sprawy.

- Czy to znaczy na przykład, że nie mogłabyś reprezentować członków mafii? - spytał, popijając kawę, Tay.

Carol uśmiechnęła się.

- Oni i tak by się do mnie nie zwrócili.

- Bankierów oskarżonych o malwersacje?

- Takich zazwyczaj stać na adwokatów doświadczonych i drogich. To też nie dla mnie.

- Zdradzający mężowie, znęcający się nad rodziną ojcowie, oszukujący podatnicy? - wymieniał dalej Tay.

- Widzę, że masz taką samą opinię o prawnikach jak o turystach - roześmiała się Carol.

Tay wzruszył ramionami.

- Twój zawód nie cieszy się szczególnym szacunkiem.
- Zgadza się, ale to nie znaczy, że wszyscy prawnicy to nędzne kreatury.
- Ty z pewnością nie wyglądasz na nędzną kreaturę...

Carol spojrzała w kierunku wyjścia i zobaczyła formującą się tam długą kolejkę. Zauważyła też, że kelner popatruje na nich znacząco.

- Bardzo mi było miło z tobą gawędzić, Tay, ale muszę już iść - powiedziała. - Możesz poprosić o rachunek i...
- Ja płacę - przerwał jej zdecydowanie. - Odprowadzę cię do auta.

Tay uregulował rachunek i wyszli na dwór.

- Ładny wieczór - rzekł, biorąc Carol pod ramię.
- Zawsze lubiłam letni zmierzch. Oczywiście, odbiera mu trochę uroku fakt, że o tej porze zdarza się najwięcej wypadków.

Tay wybuchnął śmiechem.

- Typowo prawnicze myślenie.
- Agent ubezpieczeniowy też by to zauważył. Podobno bezpieczniej prowadzić samochód w zupełnej ciemności.
- Chyba masz rację.
- Cieszę się, że pozwoliłaś mi towarzyszyć sobie w kolacji - rzekł, kiedy Carol usiadła już za kierownicą auta.
- Dzięki za kolację.
- Dobranoc.
- Dobranoc.

Carol patrzyła, jak Tay odchodzi, a światło latarni kładzie się blaskiem na jego złocistych włosach. Z trudem oderwała od niego wzrok.

Prawie żałowała, że zjadła z nim kolację. Nie był już dla niej zniechęconym intruzem, lecz człowiekiem, osobą z poczuciem humoru i własnym zdaniem.

I z bardzo niepokojącym wyglądem.

A ostatnią rzeczą, jaka była jej w tej chwili potrzebna, to właśnie niepokój.

Tay wsunął kluczyk do stacyjki. Myślał o nowej mieszkance Strathmere.

Od razu ją polubił. Nawet za bardzo. A w dodatku kompromis, na który przystał, bardzo spowolni pracę. Nie miał jednak innego wyjścia. Jego nieodparty czar najwyraźniej na nią nie działał. Przy kolacji też się nie odprężyła. Miał tylko nadzieję, że będzie siedziała w domu i uczyła się. Nie miał ochoty, by ta apetyczna brunetka paradowała w bikini przed jego pracownikami.

I przed nim.

Już i tak było mu trudno o niej nie myśleć. Przekręcił kluczyk i włączył silnik.

Carol była już wykąpana i ubrana, kiedy nazajutrz rano zjawiała się w jej domu ekipa Kirklanda. Czekając na Jane, która mieszkała niedaleko i razem z nią studiowała, przyglądała się, jak robotnicy obtykają okna i zaklejają drzwi. Efekt był dziwny - zamiast głośnego, uporczywego walenia słyszała teraz coś, co przypominało odległe grzmoty. Przygotowując podręczniki i notatki, starała się to zignorować.

- Co się tu dzieje? - spytała Jane, wchodząc do domku. - Eksperymentujesz z plutonem czy z jakimś innym materiałem promieniotwórczym? Czemu tu wszystko zostało pozalepiane?

- To długa historia - odparła Carol.

- No to mów, bo umieram z ciekawości - poprosiła Jane, rzucając na krzesło swój plecak.

Przygotowując kawę, Carol opowiedziała przyjaciółce o wszystkim.

- I ten oszałamiający blondyn jest negatywnym bohaterem twojej opowieści? Kiwnął mi głową, kiedy mijalam go, obładowana tą górą książek. Bez słowa wziął ode mnie plecak i zaniósł go na werandę. W odpowiedzi na moje podziękowania znów tylko skinął głową.

- Tak, to on. John Spencer twierdzi, że nie jest to człowiek zbyt rozmowny.

- Na miłość boską, Carol, a po co on ma mówić? To najwspanialszy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam! Nie mogę uwierzyć, że chciałaś się go pozbyć. Ja bym go błagała, żeby został.

- Mnie chyba bardziej zależy na zdaniu tego egzaminu niż tobie, Jane - zauważyła sucho Carol.

- Eee tam, ten hałas nie jest taki straszny.

- Dzisiaj nie jest. Wczoraj miałam wrażenie, że po moim dachu maszeruje orkiestra dęta. I to w podkutych butach.

- A więc zjadłaś z nim romantyczną kolację, tak? - spytała Jane, nawiązując do najciekawszego fragmentu opowieści Carol.

- Nie zjadłam z nim żadnej romantycznej kolacji - odparła z gniewem Carol. - Usiedliśmy razem, bo oboje przypadkiem znaleźliśmy się w tym samym miejscu o tej samej porze. Nasze spotkanie trwało niewiele ponad godzinę.

- Jak mogłaś przepuścić taką okazję? Trzeba go było związać i nie puszczać!

- Byłam na niego wściekła, Jane. - Carol zaczynała już być zła także na przyjaciółkę. - Chce przeprowadzić remont, którego ja sobie nie życzę. Czy ty tego nie rozumiesz?

- Założę się, że pod koniec kolacji nie byłaś już na niego zła - zauważyła chytrze Jane.

Carol obdarzyła ją morderczym spojrzeniem.

- No dobrze, to przynajmniej ja sobie trochę popatrzę, skoro ty nie chcesz.

Carol rozłożyła na stole notatki.

- A prawo też jeszcze cię interesuje?

Jane, zrezygnowana, pochyliła się nad kartkami.

Koło południa Jane nagle podniosła głowę.

- Co to za dźwięk?

- Błogostawiona cisza. Robotnicy mają przerwę śniadaniową.

Jane podeszła do okna i podniosła roletę.

- O Boże! Blondas zdejmuje koszulę!

Carol rzuciła się do okna i zsunęła roletę na sam dół.

- Czemu to zrobiłaś? - oburzyła się Jane.

- Chcesz, żeby widział, że go podglądasz?

- Każdy ma prawo wyglądać przez okno. Nie bądź śmieszna, Carol.

Dzwonek telefonu uwolnił Carol od odpowiedzi. Podniosła słuchawkę i usłyszała słodki, damski głos.

- Dzień dobry, mówi Madeline, osobista asystentka pana Kirklanda. Czy mogłabym z nim mówić?

Carol położyła słuchawkę na stoliku i ruszyła ku drzwiom.

- Dokąd idziesz? - spytała Jane.

- Telefon do Kirklanda - odparła krótko.

Wyszła na dwór i szybkim krokiem przeszła przez trawnik, omijając sterty desek. Kirkland podniósł głowę, kiedy stanęła przed nim.

- Czym mogę służyć?

- Ktoś do ciebie dzwoni.

Tay wstał natychmiast i sięgnął po podkoszulek. Odłożył nadgryzioną kanapkę i ruszył za Carol.

- Tutaj. - Carol wskazała stojący na kuchennym stole aparat. Razem z przyjaciółką wyszły do salonu, by mu nie przeszkadzać.

- Założę się, że to kobieta - szepnęła Jane.

- Powiedziała, że to sprawa służbowa.

- Tak, akurat.

- Jane...

- Przed przyjściem tutaj włożył koszulkę. Cóż za kultura. - Wejście Kirklanda uniemożliwiło Carol ripostę.

- Dzięki - rzekł.

Carol skinęła głową. Zauważyła, że Tay zachowuje się wobec niej chłodno i powściągliwie, jakby nie jedli nigdy wspólnej kolacji.

- Mój telefon komórkowy ostatnio nawala. Mają mi go zreperować, więc nie będę cię już niepokoił - dodał.

- To żaden kłopot.

- Cześć, jestem Jane Langley - powiedziała przyjaciółka Carol, wyciągając ku niemu rękę.

- Cześć - odparł Tay.

- Widzę, że pracujecie tu jak szaleni - zauważyła z uśmiechem.

Tay kiwnął głową.

- Budowanie to bardzo ciekawe zajęcie - zauważyła Jane.

- Nie najgorsze.

- Pracujecie głównie latem?

- Na zewnątrz. W zimie układamy podłogi i robimy tego rodzaju rzeczy. - Tay spojrział na Carol. - Muszę już iść. Jeszcze raz dziękuję - dodał, zamykając za sobą drzwi.

- Budowanie to bardzo ciekawe zajęcie - zaszczębiotała Carol, przedrzeźniając Jane. - Tak samo ciekawe, jak obserwowanie rosnącej trawy. Wiesz, Jane, ty czasami jesteś niemożliwa.

- Przynajmniej z nim pogadałam. A ty stałaś jak słup soli.

- Może nie chciałam robić z siebie idiotki.

- Dobrze, Carol. To twoja sprawa. Ja w każdym razie będę jeszcze próbować.

- A więc nie będziesz się tu ze mną uczyć. Nie mam zamiaru patrzeć, jak się do niego zalecasz - powiedziała Carol i naląła sobie kawy do filiżanki.

- Nie pozwalasz mi z nim rozmawiać?

- Nie bądź śmieszna.

- To jak? Mogę mu zaproponować spotkanie?

- Nie uważasz, że postępujesz trochę obcesowo?

- Nie uważasz, że jesteś trochę staroświecka?

- Na miłość boską, Jane, o co my się kłócimy? On pewnie jest żonaty.

- Nie jest.

Carol omal nie rozlała kawy.

- Skąd wiesz?

Jane wybuchnęła śmiechem i pogroziła przyjaciółce palcem.

- A więc jednak się nim interesujesz! Wiedziałam!

- No, dobrze, interesuję się - powiedziała cicho Carol. - Masz rację. To zupełnie absurdalne. On mnie wyraźnie nie znosi, bo próbowałam się go stąd pozbyć, ale jest w nim coś...

- Oczywiście, że jest, i cieszę się, że to zauważyłaś. W szkole byłaś tak pochłonięta nauką, że bałam się, iż skończysz w klasztorze.

Carol westchnęła.

- Jane, ta rozmowa jest bez sensu. Umieram z głodu i chcę zrobić obiad. Możesz mi pomóc, jeśli choć na chwilę przestaniesz gadać.

- Jeszcze tylko jedna rzecz. Carol zamknęła oczy.

- Ale naprawdę ostatnia.
- Skoro spotkałaś kogoś, na kim ci zależy, nie rezygnuj.
- Tuńczyk czy indyk?

ROZDZIAŁ TRZECI

Minęły dwa tygodnie. Dach dostał nowe poszycie, ganek z tyłu domu był już prawie gotowy. Jane przyjeżdżała codziennie na wspólną naukę. Z regularnością co do minuty każdego ranka zjawiał się Tay Kirkland, kierował swymi pracownikami, a z Carol, nie chcąc jej przeszkadzać, rozmawiał tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Było dokładnie tak, jak Carol sobie życzyła, ale wcale jej się to nie podobało. Tęskniła za chwilą, którą mogliby spędzić sam na sam, jak tamta kolacja w Avalon, za jakimś znakiem, że Tay wie o jej istnieniu, ale on starał się schodzić jej z drogi. Na pozdrowienia odpowiadał kiwnięciem głowy.

Jane ciągle namawiała Carol, żeby wyszła przed dom i porozmawiała z Tayem, ale w obecności jego pracowników trudno jej było się na to zdobyć.

Może Jane była do tego zdolna, ale Carol nie.

Pewnego dnia, kiedy Jane postanowiła spędzić rano w bibliotece prawniczej w Cape May, Carol zauważyła, że Kirkland przyjechał sam. Wysiadł z ciężarówki i zniknął za rogiem. Zaciekawiona wyszła na ganek, który zbudowano z tyłu domu. Tay klęczał na ziemi i zalepiał dziurę w podmurówce.

- Co robisz? - spytała, przechylając się przez poręcz.
- Naprawiam mur piwnicy. Przy remoncie kamienie trochę się porozsuwały i jeśli nie zalepię tych dziur, dostanie się przez nie woda.
- A gdzie jest twoja ekipa?
- Kończy inną pracę w mieście. A to i tak zajęcie dla jednej osoby. Gdzie się podziewa dziś twoja przyjaciółka?
- Szuka czegoś w bibliotece - odparła Carol i dopiero po chwili zdobyła się na odwagę. - Wypijesz filiżankę kawy? - spytała.

Spojrzał na nią tak badawczo, że aż zrobiło jej się głupio. Czyżby musiał podjąć jakąś życiową decyzję? Czy mu się oświadczyła?

- Chętnie - rzekł w końcu i odłożył narzędzia. Wstał, wyjął z kieszeni jakąś szmatkę i wytarł nią ręce. Wszedł po schodkach i stanął obok Carol. Choć była wysoka, patrzył na nią z góry. Było to dla niej całkiem nowe doświadczenie.

- Chodźmy - powiedziała szybko. Kiedy przytrzymał jej drzwi, opierając o nie rękę tuż nad jej głową, poczuła delikatny zapach mydła i rozgrzanego słońcem męskiego ciała.

W kuchni Tay rozsiadł się wygodnie na krześle i wyciągnął przed siebie nogi. Tym razem miał na sobie turkusowy podkoszulek, nadający jego oczom kolor rozświetlonej słońcem morskiej wody. Krzątająca się Carol przez cały czas czuła na sobie jego wzrok. Postawiła na stole dzbanek z kawą i talerz pełen ciasteczek.

- No, no, pani mecenas umie też piec - rzekł z uśmiechem Tay.

- Niezupełnie. To z proszku.

- Ale w każdym razie upiekłaś je i nie spaliłaś.

- To prawda. - Przez chwilę przyglądała się, jak Tay je ciasteczka. - Jak myślisz, kiedy skończycie remont? - spytała w końcu.

- Wciąż chcesz się mnie pozbyć?

- Nie - odparła, patrząc mu prosto w oczy. Tay wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. To zależy od wielu rzeczy - od ludzi, materiałów, pogody...

- Od pogody? Przecież jest piękna.

- Wkrótce nadejdzie pora huraganów. Ten dom zbudowano w złym miejscu.

- Czemu?

- Pobliskie skały tworzą jakby tunel. Wiatr w niego wpada i nabiera prędkości. Już kilka razy zerwał dach szkoły.

- Pierwszy raz o tym słyszę.

- To przez te zmiany klimatyczne. Mój przyjaciel jest meteorologiem i kiedyś mi to wyjaśnił.

- Aha.

Ich oczy się spotkały i Carol zrozumiała, że żadne z nich nie myśli o pogodzie.

- Co zaplanowałaś na dzisiejszy obiad? - spytał po chwili Tay.

- Masło orzechowe i dżem - odparła bez entuzjazmu. Tay uśmiechnął się.

- Ja też nie przepadam za masłem orzechowym. W dzieciństwie jadałem je aż za często. Może byśmy dokądś poszli?

- Dokąd?

- Jedyna restauracja w mieście czynna jest dopiero od trzeciej. Musielibyśmy pojechać do Avalon.

- Może jednak zostaniemy tutaj? Chętnie coś przyrządzę i zjemy razem.

- Nie rób sobie kłopotu.

- To żaden kłopot.

Tay wypił ostatni łyk kawy i wstał.

- Pół do pierwszej?

- Pół do pierwszej.

- No, to na razie.

Carol została sama. Uśmiechnęła się do siebie i zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

Ranek niesamowicie się jej dłużył. Carol co chwila spoglądała na zegar, ze smutkiem stwierdzając, że upłynęło zaledwie kilka minut. W końcu zrezygnowała z nauki. Snuła się po domu, układała rzeczy, które leżały w zupełnym porządku, przestawiała książki na półkach, podlewała rośliny, które przywiozła ze sobą z Nowego Jorku. Cały czas nasłuchiwała, co robi Tay.

O dwunastej umyła sałatę i obrała truskawki na deser. O pół do pierwszej usłyszała szum wody z ogrodowego węża i wyjrzała przez okno.

Rozebrany do pasa Tay mył się pośrodku trawnika. Kaskady wody spływały po jego muskularnym, mocno opalonym ciele. Kiedy wyłączył wodę, Carol podbiegła do lustra, poprawiła włosy i musnęła szminką wargi.

- Głodny? - z uśmiechem powitała go w drzwiach.

- I to jak - odparł.

Był ubrany w świeżą koszulę, którą pewnie miał w bagażniku - żółte polo, dodające blasku jego wilgotnym włosom i kontrastujące z opalenizną.

Najwyraźniej we wszystkim wyglądał rewelacyjnie.

- Mogę ci w czymś pomóc? - spytał, kiedy nakrywała do stołu.

- Nie, wszystko gotowe.

- Nieźle wygląda - rzekł, siadając na wskazanym mu krześle. Natychmiast sięgnął widelcem po sałatkę. -Mmm, pycha. Jak to się nazywa?
 - Sałata po nicejsku.
 - Z proszku? - zażartował, a Carol wybuchnęła śmiechem.
 - Nie, moje własne dokonanie.
 - A to? - Wskazał na drugi talerz.
 - Kurczę na zimno w sosie cytrynowym. Niepodobne?
 - Tak tylko pytam. - Przez chwilę żuł kawałek mięsa w zamyśleniu. - Moja żona gotowała różne wymyślne potrawy, przyrządzała dania, o których nigdy nie słyszałem. Zawsze mi jednak smakowały. Raz tylko usmażyła jakąś dziwną rybę w panierce, która odpadła i wyglądała jak rozmoczone ciasto - dodał, wyraźnie rozbawiony tym wspomnieniem.
 - Byłeś żonaty? - spytała ostrożnie Carol. Wycierając usta serwetką, Tay skinął głową.
 - Rozwiodłeś się?
 - Nie, moja żona zginęła w wypadku pięć lat temu.
 - Tak mi przykro - powiedziała Carol po chwili milczenia. - Mieliście dzieci?
- Tay odłożył widelec.
- Córkę - rzekł cicho. - Ma teraz siedem lat, prawie osiem. Nie mieszka ze mną.
- Ton jego głosu ostrzegł Carol, że nie powinna zadawać więcej pytań na ten temat.
- Jane i ja ostatnio bardzo dużo się uczymy - powiedziała z uśmiechem po długiej chwili męczącej ciszy.
- Tay spojrział na nią, pociągając łyk mrożonej herbaty.
- Zdążysz się przygotować do egzaminu? - spytał.
 - Mam nadzieję - odparła Carol. - Bardzo się staram, ale ilość materiału, jaką muszę przerobić, jest ogromna. Chwilami mam wrażenie, że nigdy tego nie zapamiętam.
 - Jak to jest, gdy się tak długo studiuje? Ja od razu po szkole poszedłem do pracy.
 - No cóż, w pewien sposób to ucieczka przed prawdziwym życiem. Wkrótce jednak i tak będę musiała mu stawić czoło.
 - Myślisz, że będzie ci się podobała praca prawnika?

- Jestem zadowolona z praktyki, którą odbywam teraz w pewnej firmie w Nowym Jorku. Zdobyłam już nieco doświadczenia i myślę o zajęciu się prawem rodzinnym.

- Tutaj?

- Może. Najpierw chcę zdobyć uprawnienia do wykonywania swego zawodu w stanie New Jersey, potem nowojorskie, będę więc miała licencję umożliwiającą mi pracę i w Nowym Jorku, i tutaj.

- Ty wcale nie jesz - zauważył Tay, wskazując jej wciąż pełny talerz.

- Chyba nie byłam taka głodna.

- Przygotowałaś to wszystko tylko dla mnie, prawda?

- Nie, ja... - Carol napotkała jego wzrok i wzruszyła ramionami. - Gdybym była sama, zjadłabym pewnie tylko jakąś kanapkę.

- Doceniam to. Nieczęsto jadam taki pyszny obiad. Jestem stałym klientem różnych barów.

- Nigdy nie jesz w domu?

- Rzadko.

- Dlaczego?

- Brak ochoty, brak czasu. Mam mnóstwo zajęć. A właśnie, muszę już wracać do pracy.

- Przygotowałam coś na deser. - Tay uśmiechnął się.

- Wygrałaś.

Carol wyjęła z lodówki miseczki wypełnione czymś wyglądającym niezwykle apetycznie i postawiła je na stole. Kiedy zajęła się kawą, Tay od razu rzucił się na swoją.

- Hej, co to jest? - przerwał na chwilę.

- Owoce, jogurt, orzechy, rodzyunki, miód.

- Chyba zasnę po takim posiłku - westchnął. - Jeśli zauważysz przez okno, że leżę w trawie, wyjdź i obudź mnie kopniakiem. Naprawdę nie spodziewałem się, że tak mnie ugościsz - dodał, kiedy Carol z uśmiechem zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

- Miło mi było mieć towarzystwo.

- Przecież masz je codziennie.

- Tak, ale ty nie kazałaś mi mówić o kodyfikacji prawa.

- Obiecuję, że nigdy tego nie zrobię - oświadczył uroczyście Tay.

- Trzymam cię za słowo - zapewniła. Podała mu filiżankę z kawą i usiadła za stołem.
- A co to jest kodyfikacja prawa?
- Lepiej mi nie przypominaj. Uczyłam się tego na pierwszym roku i już wszystko zapomniałam.
- Typowy przykład paniki przedegzaminacyjnej.
- Tak, najpierw panika, potem histeria, na końcu atak szału.

Tay parsknął śmiechem.

- To wcale nie jest śmieszne.
- Chyba rzeczywiście nie.
- Najgorsze jest to, że do tego egzaminu można podchodzić tylko trzy razy.
- Na pewno zdasz za pierwszym podejściem.
- Już to mówięś. Masz znajomości w komisji egzaminacyjnej? - zainteresowała się Carol.
- Znajomości nie, ale przecucie - owszem. A teraz: marsz do roboty - oznajmił.
- Dobrze.
- Jeśli nie skończę tego, co sobie na dziś zaplanowałem, cały harmonogram weźmie w tęb.
- Masz rację, Tay. Nie zatrzymuję cię - odparła cicho Carol, przyglądając mu się uważnie.

Tay lekko się zarumienił.

- Nie o to mi chodzi. Kulturalny człowiek powinien „odsiedzieć” poczęstunek.
- Zamiast tego możesz coś zaśpiewać. - Tay pokręcił głową i spuścił wzrok.
- Trochę mnie zaskoczyło, że jesteś dla mnie taka miła. Masz przecież powody, by się na mnie gniewać.
- Twoi pracownicy, o dziwo, wcale mi nie przeszkadzają.
- Naprawdę?
- Naprawdę.
- A ja? - spytał cicho.

Ostry dźwięk klaksonu, dochodzący sprzed domu, przerwał tę rozmowę.

- To pewnie Mike - rzekł Tay. - Prosiłem go, żeby przywiózł mi dodatkowe narzędzia. Dzięki za obiad i...

Carol milczała.

- Do zobaczenia - dodał.

Szybkim, zdecydowanym krokiem przeszedł przez kuchnię i zniknął za drzwiami.

Carol podeszła do zlewu. Chciała za nim pobiec, lecz wrodzona ostrożność nie pozwoliła jej poddać się temu impulsowi.

Co będzie, kiedy skończy się lato? Czy już nigdy go nie zobaczy?

- A więc jadłaś dziś z nim obiad? - spytała Jane, żując jedno z ciasteczek Carol. Zapadał już zmierzch. Skończyło się właśnie długie, pełne intensywnej nauki popołudnie.

- Tak.

- To już pewien postęp, prawda?

- Nie wiem, czy można to tak nazwać. Byliśmy tu tylko we dwoje i zaproponowałam mu po prostu wspólny posiłek.

- Ciekawe, czy to był tylko przypadek? Że Kirkland zjawił się tu sam, kiedy mnie akurat nie było.

- Czyżbyś coś sugerowała?

- A nie uważasz, że to dosyć dziwne?

- To czysty przypadek, Jane. Takie rzeczy często się zdarzają.

- Dowiedziałaś się o nim czegoś ciekawego?

- Nie był szczególnie rozmowny, a ja nie mogłam go przecież wypytywać. Wspomniał tylko, że był żonaty, ale żona zginęła w wypadku, a on nie ma praw opiekuńczych do swego dziecka.

- To całkiem sporo. Ciekawe, kto opiekuje się tym dzieckiem.

Carol wzruszyła ramionami.

- Musiała być jakaś afera, bo inaczej dziecko byłoby z nim - ciągnęła Jane.

- Afera?

- No, wiesz. Może na przykład miał jakąś kobietę, zanim jego żona zginęła.

- A może po prostu ty masz bujną wyobraźnię. - Carol spojrzała na zegar. - O Boże, już po ósmej. Nawet słyszę, jak burczy mi w brzuchu. Ciekawe, czy zostało jeszcze trochę tuńczyka.

Jane jęknęła.

- Nigdy więcej tuńczyka. Już mi rosną skrzela. Czy nie mogłybyśmy gdzieś zjeść porządnego hamburgera?

- Restauracja Catera jest blisko, ale, o ile pamiętam, klienci tam są dość szczególni, a i jedzenie pozostawia wiele do życzenia.

- Nie może być nic gorszego od tego, co jadłyśmy przez ostatni tydzień - zauważyła ponuro Jane.

- Dzięki.

- Jeśli podrosnę o dwadzieścia centymetrów i włożę blond perukę, to czy zrobisz mi sałatę nicejską i kurczaka na zimno w sosie cytrynowym? - spytała niewinnie Jane.

Carol rzuciła w nią gumką.

- No, stara - powiedziała Jane. Włożyła sandały i zarzuciła na ramię torbę. - Mam już dość wkuwania i tych czterech ścian. Zróbmy sobie wolne i zjedźmy coś poza domem.

- No, dobrze, ale dziś jest piątek. U Catera będzie tłum.

- Wytrzymam.

- Uczeszę się i zaraz wracam.

Carol weszła do sypialni i stanęła przed lustrem. Spojrzała na swe odbicie i westchnęła. Przebrała się w bluzkę niewiele mniej spraną niż ta, którą miała na sobie. Umalowała szminką wargi i zaczesła włosy za uszy. Była gotowa.

Do restauracji było niedaleko, postanowili więc pójść piechotą.

- Choćby nie wiem jak było gorąco w ciągu dnia, wieczorem zawsze jest ta cudowna, chłodna bryza - zauważyła Carol. - Pamiętam ją sprzed lat.

- Cieszę się, że masz w kuchni klimatyzację. Inaczej byśmy się tam ugotowały.

- Wyobraź sobie, jak byś się czuła po całych dniach pracując na dworze.

- Ale za to Tay i jego ludzie są pięknie opaleni. Co mi przypomina, że muszę jak najszybciej wybrać się na plażę, choćbym miała tego później żałować. Jestem jedyną osobą w całym mieście, która wygląda jak dziecko piekarza.

- A ja?

- Ty nie jesteś osobą, lecz komputerem. Słońce i plaża w ogóle dla ciebie nie istnieją.

- Popywam trochę, ale już po egzaminie - obiecała Carol, kiedy wchodziły do restauracji.

Powitał je gęsty tytoniowy dym, brzęk szklanek, głośna muzyka i podniesione głosy. Na wolne stoliki czekało już sporo osób, postanowili więc wstąpić do baru.

- Czym mogę paniom służyć? - spytał kelner, przekrzykując jakiś modny przebój. Na parkiecie kręciło się kilka par.

- Dwa piwa, wszystko jedno jakie - zarządziła Jane. Kelner przyjął zamówienie i zniknął.

- Ja nie chcę piwa, Jane - powiedziała Carol. - Nie lubię go.

- Wypiję i twoje. O, o, patrz.

- Na co?

- Zobacz, kto tu jest.

Carol spojrzała we wskazanym jej kierunku. I napotkała wzrok Taya Kirklanda.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Carol znieruchomiła i szybko spuściła wzrok. Kiedy po chwili znowu spojrzała w tamtym kierunku, Tay wirował w tańcu z jakąś szczupłą rudowłosą dziewczyną.

- Chodźmy stąd, Jane - powiedziała, wstając.

- O czym ty mówisz? Umieram z głodu!

- Weźmiemy auto i pojedziemy do Avalon.

- Padnę, zanim tam dojedziemy. Zostaję.

- Jane, na miłość boską, to takie upokarzające. On jest tu z dziewczyną, a my się na niego gapimy.

- Wcale się nie gapimy.

- Nie kłóć się ze mną. Chcę stąd wyjść, zanim do nas podejdzie.

- Za późno - odparła Jane.

Carol zamknęła oczy, a kiedy je znowu otworzyła, Tay i jego towarzyszką stali już obok niej.

- Cześć - rzekł. Miał na sobie brązowe spodnie, białą koszulę i kremowy sweter. Towarzysząca mu dziewczyna ubrana była w drogi żakiet oraz spodnie i uśmiechała się promiennie.

- Cześć - odparła Carol.

Jakoś przeżyła krótką rozmowę o niczym i odetchnęła z ulgą, kiedy znów zostały same.

- Madeline powinna ufarbować sobie odrosty - zauważyła Jane.
- To jego osobista asystentka - powiedziała Carol, patrząc bezmyślnie przed siebie.
- Tak to się dzisiaj nazywa? - zaśmiała się Jane.
- Zadzwoń do niego, kiedy u mnie pracował. Powiedziała, że jest jego asystentką.
- Nie podobają mi się jej buty - powiedziała Jane, patrząc na wracających na parkiet Taya i Madeline. - Przynajmniej dowiedzieliśmy się, że ten uroczy blondyn umie tańczyć - dodała, kiedy Tay przechylił partnerkę tak, że aż dotknęła włosami podłogi.
- Poczekam na wolny stolik. Stanę w kolejce - oznajmiła, podnosząc się Carol. Jane, z kuflami w ręku, niechętnie podreptała za nią.
- Zwolnij trochę. Pędzisz jak do pożaru.
- Zamknij się, Jane. Wcale mnie to nie bawi - odparła ostro Carol.
- Spokojnie, spokojnie. Przestań się rzucać.
- Rzucam się? Wcale się nie rzucam. Przychodzę tutaj, wykończona po całym dniu nauki, ubrana w stary podkoszulek, i natykam się na Taya, romansującego z oszałamiającą rudą piękną wystrojoną jak modelka z żurnala. Ciekawe, dlaczego się rzucam, co?
- Ten facet chyba naprawdę wpadł ci w oko. Nigdy się tak nie zachowywałaś - zauważyła Jane. W tej samej chwili zwolnił się stolik.

Nie musząc patrzeć na Taya, Carol od razu poczuła się lepiej, ale zupełnie straciła apetyt.

- Pójdę do toalety - powiedziała.
- A gdzie ona jest?
- Za barem, o ile pamiętam.
- Powodzenia!

Carol z trudem torowała sobie drogę przez tłum, kiedy nagle poczuła na ramieniu czyjś dotyk.

- Lucy! - wrzasnął potężny, spocony mężczyzna w koszuli w kratę. Miał rude wąsy, a w ręku ścisnął ogromny kufel piwa. - Cieszę się, że cię widzę!
- Nie jestem Lucy - odparła Carol, próbując się od niego uwolnić. Na próżno. Zaciśnięta na jej ramieniu łąpa ani drgnęła.
- Tak bardzo za tobą tęskniłem, malutka. Wczoraj nawet pytałem o ciebie Rudy'ego. - Olbrzym dyszał jej kwaśnym oddechem prosto w twarz.

Carol bezradnie rozglądała się dokoła. Wokół jednak widziała tylko same obce twarze.

- Cieszysz się, że mnie widzisz? - dopytywał się grubas. - Daj buziaczka, malutka!

Nie namyślając się dłużej, Carol podbiła mu rękę z kuflem. Zaskoczony mężczyzna nie zdążył zareagować. Fontanna piwa oblała ich oboje.

Mężczyzna odskoczył, uwalniając Carol. Ociekając piwem, Carol rzuciła się w tłum. Rozwścieczony pijak podążył za nią.

Nagle z tłumy wynurzył się Tay, osłonił sobą Carol i stanął twarzą w twarz z grubasem.

- Spadaj, piękniś - wycedził przez zęby.

- A... ale... ja ją znam. - Mężczyzna próbował ominąć Taya.

- Jesteś zbyt zalany, by znać kogokolwiek. Wytrzymaj się i zostaw tę panią w spokoju. Ona jest ze mną.

Woląc nie ryzykować porażki na oczach tłumy, pijak wzruszył ramionami i usiadł przy barze.

- Chodź ze mną - rzekł Tay do Carol.

Ze spuszczoną głową poszła za nim.

- Nic ci nie jest? - spytał, kiedy znaleźli się na dworze. Carol niepewnie kiwnęła głową, odgarniając z twarzy mokre, poplątane włosy.

- Szkoda, że nie odnalazłem cię wcześniej.

- Miałam szczęście, że w ogóle mnie odnalazłeś.

- To nie sprawa szczęścia. Szukałem cię. Carol spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego?

- Siedząc przy stoliku, wyglądałaś na zdenerwowaną. Chciałem wiedzieć, co się stało.

- Nic się nie stało.

Carol zadrżała, kiedy owiała ją chłodna, morska bryza.

- Musisz pozbyć się tej mokrej koszulki - rzekł Tay. Zdjął swój sweter i podał go Carol. Miękką tkanina emanowała ciepło ciała swego właściciela.

- Damska toaleta jest tuż przy drzwiach - powiedział Tay. - Poczujesz się lepiej, jak będziesz sucha.

- I mniej śmierdząca napojem, który rozstawił Milwaukee - zażartowała słabo.

- Zaczekam tu na ciebie.

W toalecie Carol zdjęła mokry podkoszulek i stanik, a potem włożyła obszerny, miękki sweter Taya. Cesała właśnie włosy, kiedy w toalecie pojawiła się Jane.

- Tu jesteś! - zawołała. - Czy coś ci się stało? I co ty masz na sobie?

- Sweter Taya Kirklanda.

Jane otworzyła usta ze zdumienia.

- Uratował mnie przed napaścią pewnego pijaka - wyjaśniła Carol, wpychając mokre rzeczy do torby. - Później ci opowiem. Teraz marzę, by być już w domu.

- A co z naszą kolacją? Już zamówiłam coś pysznego.

- Zostań i zjedz kolację. Do domu mogę wrócić sama.

- Jesteś pewna? Nie wyglądasz najlepiej.

- Nic mi nie jest. Ten facet, który mnie zaatakował, był dość agresywny. Ale już mnie nie zaczepi.

- Dzięki dzielnemu rycerzowi.

- O, właśnie. Tay czeka na mnie na dworze. Muszę mu powiedzieć, że wracam do domu.

- Dobrze, Carol. Zadzwoń do ciebie jutro. I życzę ci powodzenia.

- Powodzenia?

- Z Tayem. - Jane puściła oko i zniknęła.

Carol wyszła na ulicę i zastała Taya opartego o ścianę.

- Lepiej się czujesz? - spytał. Carol skinęła głową.

- Chcesz, żebym cię odprowadził?

- A twoja dziewczyna?

- Dziewczyna? A, Madeline. Wejść do baru i wyjaśnię jej, co się stało. Na pewno zrozumie. Jest ze znajomymi i pewnie nawet nie zauważyła, że zniknąłem.

Carol wyciągnęła rękę.

- Nie, nie mogę na to pozwolić. Pójdę sama.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Nic się nie stało, Tay, chyba nawet trochę przesadziłam. Pewnie bym sobie dała radę z tym facetem bez wylewania piwa. Przecież nic mi nie mógł zrobić w takim tłumie.

- Zrobiłaś, co należało. Znam tego faceta. Zawsze szuka guza.

- Dzięki jeszcze raz i życzę ci dobrej nocy.

Carol ruszyła ulicą i tylko raz obejrzała się za siebie. Tay stał dokładnie tam, gdzie go zostawiła, i patrzył za nią.

Wróciwszy do domu, Carol wzięła prysznic i trzykrotnie umyła włosy, by usunąć kwaśny zapach piwa. Później włożyła letnią nocną koszulkę oraz szlafrok i obejrzała w telewizji jakiś stary film. Chciała zapomnieć o tym, co zdarzyło się dziś wieczorem.

Pragnęła zapomnieć o spoconym grubasie z baru i Ma-deline, wyraźnie zafascynowanej Tayem. Już miała wyłączyć telewizor, bo zaczęły się wiadomości, kiedy zadzwonił dzwonek.

Jane? Tylko ona mogła się tu zjawić o tak późnej porze. Carol zapaliła światło na ganku i przez szklane drzwi zobaczyła Taya.

Jej serce zaczęło bić w piersi jak oszalałe.

- Cześć - rzekł, kiedy otworzyła drzwi.

- Cześć.

- Postanowiłem wstąpić, żeby sprawdzić, jak się czujesz. Nie byłem zadowolony, że wracałaś do domu sama.

- Jak widzisz, dotarłam bez problemów. A gdzie Madeline?

- Odwiozłem ją do domu - odparł. - Mogę wejść?

- Oczywiście. - Carol nagle uświadomiła sobie, że zapraszając Taya, by wszedł do jej domu, traktuje go jak domokrężcę.

Tay wszedł do salonu i rozglądał się dokoła, jakby był tu po raz pierwszy.

- Sam nie wiem, co ja tu właściwie robię - rzekł po chwili, spoglądając na Carol.

Gospodyni milczała.

- Po prostu musiałem przyjść. Carol kiwnęła głową.

- Splukałaś już to piwo z włosów? - spytał, muskając leciutko opadający na czoło Carol niesforny loczek.

- Chyba tak. Niektóre kobiety zawsze po myciu głowy płuczają włosy piwem. To im podobno dodaje blasku.

- Twoje włosy nie potrzebują tego rodzaju odżywki.

- I tak bym jej nie zastosowała. Kto by chciał mieć głowę śmierdzącą jak piwiarnia?

Tay uśmiechnął się.

- Upiorę twój sweter i jutro ci go oddam.

- Nie rób sobie kłopotu.

- Nie, nie, chcę to zrobić. Byłeś taki miły, że mi go pożyczyłeś, powinnam więc o niego zadbać. To piękny sweter i pewno często go nosisz.

Carol zdawała sobie sprawę, że papie bez sensu, ale nie była w stanie przestać.

- Kiedy zobaczyłem, że ten brutal cię dotyka, chciałem go zabić - rzekł Tay.

- Mówiłam ci, że nic złego się nie stało.

- Chyba po prostu byłem zazdrosny - dodał, patrząc jej w oczy.

- Zazdrosny?

Tay z powagą kiwnął głową.

- Ja sam tak bardzo chciałbym cię dotykać.

Carol przymknęła oczy. Czowała, że traci nad sobą panowanie i nie jest w stanie oprzeć się. Kiedy w końcu na niego spojrzała, był tuż obok. Zrozumiał jej spojrzenie i chwycił ją w ramiona.

Objęła go kurczowo. Przywarła do niego całą sobą, świadoma każdego ruchu, każdego dźwięku. Jego wargi były miękkie i ruchliwe, wędrowały po jej twarzy, uchu, szyi. Czowała na sobie jego ręce. Zsunął z niej szlafrok, obnażył ramiona i piersi. Całował ją namiętnie. Potem wziął na ręce i zaniósł na kanapę.

Carol zarzuciła mu ręce na szyję, całowała go i pozwalała się całować. Jęknęła, kiedy przywarł do niej i poczuła jego twardą męskość. Wsunęła mu ręce pod koszulę i pieściła miękkie, jedwabiste gładkie ciało.

- Kochaj mnie, Tay - szepnęła błagalnie. - Proszę, kochaj mnie.

Tay drgnął, usiadł i wypuścił ją z objęć.

- Nie mogę - mruknął, drżącymi dłońmi przeczesując zmierzwiłone włosy. - Wybacz mi, Carol, nie powinienem tu przychodzić.

Carol patrzyła na niego oszołomiona, czując ucisk w gardle.

- Przepraszam cię - mówił dalej.- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Wiem, że cię zawiodłem. Wybacz mi.

Wstał i zapiął koszulę. Carol nie powiedziała ani słowa. Kiedy zatrzęsnęły się za nim drzwi, padła bezwładnie na kanapę. Nie była w stanie powstrzymać łez.

Tay jechał bez celu przed siebie. Było mu wszystko jedno, dokąd. Czuł, że i tak nie zaśnie.

Dlaczego wstąpił do Carol? Wiedział, że zrobił jej krzywdę, ale coś go do niej ciągnęło. Od kilku tygodni, od dnia, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, cały czas o niej myślał. A później ujrzał ją napastowaną przez bezczelnego pijaka i musiał do niej pojechać. Sam nie wiedział, co się z nim dzieje.

Od dawna nie doznawał czegoś takiego. Od śmierci Alice. A przecież jego uczucia do Carol Lansing mogą uniemożliwić mu odzyskanie Alicji.

Musi zapomnieć o tej dziewczynie. Nie ma innego wyjścia.

Zacisnął wargi, zawrócił i ruszył z powrotem ku Strathemere.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Carol przeżyła resztę weekendu w stanie szoku. Przez cały czas zastanawiała się, czemu Tay zjawił się w jej domu i rozmyślnie ją uwiódł, a potem, kiedy była już gotowa mu się oddać, wycofał się i uciekł. Czyżby był to rewanż za jej początkową niechęć do niego? Ale przecież ostatnio był dla niej taki miły. A ona jest taka wybredna. Miała do tej pory tylko dwóch chłopaków i z każdym to ona zerwała. Teraz odrzucił ją mężczyzna, na którym tak bardzo jej zależało. Było to zupełnie nowe i bolesne doświadczenie.

Wiedziała, że nie będzie mogła spojrzeć Tayowi w oczy.

Jak się jednak okazało, był to najmniejszy z problemów. Kiedy Tay stawiał się do pracy w poniedziałek rano, zupełnie ją ignorował. Kiwnął jej tylko głową na powitanie, a potem traktował ją jak powietrze. Jego zachowanie bardzo ją rozwścieczyło. Zamiast wstydu i bólu czuła teraz złość. W środę w południe podeszła do niego i podała mu uprany i złożony sweter.

- Chciałam ci to oddać - oznajmiła chłodno. - Pomyślałam, że może przyda się Madeline.

Tay zarumienił się, ale nie wyrzekł ani słowa. Wziął sweter i rzucił go na tylne siedzenie swego auta. Carol wróciła do domu, do czekającej na nią Jane.

- Czy powiesz mi w końcu, co się dzieje między tobą i twoim rycerzem? - spytała przyjaciółka.

- Nic się nie dzieje. Przecież widzisz.

- Ale coś się stało. Mówiłaś mi, że ocalił cię z rąk agresywnego pijaka, co uznałam za bardzo dobry początek, a teraz widzę, że nie możecie na siebie patrzeć. Może jednak wyjaśnisz mi, o co tu chodzi?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Najwyraźniej. Lepiej coś z tym zrób, bo nie jesteś zupełnie w stanie się skoncentrować. A wydawało mi się, iż egzamin jest dla ciebie najważniejszy i że poza nim nic się nie liczy.

Carol podeszła do okna wychodzącego na tył domu i ujrzała, jak pracownicy Kirklanda szykują się do śniadania. Patrzyła, jak Tay zbliża się ku nim szybkim, zdecydowanym krokiem.

Odwróciła się i spojrzała na Jane.

- Przyszedł tutaj w piątek wieczorem po moim powrocie z baru - powiedziała cicho.

- Z Madeline?

- Nie, odwiózł ją do domu.

- To bardzo ładnie z jego strony. Czego chciał?

- Dowiedzieć się, czy ze mną jest wszystko w porządku. Przynajmniej tak powiedział, kiedy się tu zjawił, ale i tak oboje wiedzieliśmy, że...

- O rany! To wiele wyjaśnia. Poszłaś z nim do łóżka?

- Oczywiście, że nie - odparła, rumieniąc się, Carol.

- Mogłam się tego spodziewać. Znam cię przecież nie od dziś.

- Ale mogłam to zrobić - mówiła dalej Carol. - Nigdy w życiu tak się nie czułam. Dotknął mnie i zupełnie straciłam głowę - dodała z westchnieniem. - A teraz nie chce nawet ze mną rozmawiać.

- Czemu?

- Stało się coś dziwnego. Kiedy ogarnął nas żar namiętności, Tay odsunął się ode mnie, mówiąc, że nie może, przeprosza i prosi o wybaczenie. Już nawet nie pamiętam dokładnie, co mówił. Chyba celowo usunęłam to z pamięci. Od tamtej pory traktuje mnie, jakbym była zadżumiona.

- Pewnie mu głupio.

- Jemu głupio? A co ze mną? To nie ja się za nim uganiałam! Sam do mnie przyszedł. Chemie bym go złała.
- Oj, chyba nie na to masz ochotę.
- Dobrze, dobrze, przyznaję, że nadal go pragnę. To się nie zmieniło. Ale nie wiem, co robić? Nie mogę się zachowywać tak, jakby się nic nie stało.
- On najwyraźniej to robi.
- Zgadza się.
- I to cię boli.
- Wiem, że to wydaje ci się bardzo zabawne, ale ja mówię serio. Nie mam dużego doświadczenia w tych sprawach, ale wiem, że nie zachował się tak dlatego, że nagle przestał mnie pragnąć. Czuję, że przed przyjściem tutaj walczył ze sobą i w kluczowym momencie sobie o tym przypomniał.
- Jak to wytłumaczysz? Czy Madeline ma coś z tym wspólnego?
- Madeline jest mu obojętna, bo inaczej nie zostawiłby jej, żeby przyjechać do mnie.
- A jeśli to wyrachowany podrywacz?
- Wątpię. Chodzi tu o coś innego.
- To weź sprawy w swoje ręce - poradziła Jane. - Idź do niego i spytaj, o co mu, do cholery, chodzi.
- Nie mogę. Tylko raz mnie pocałował.
- Z tego, co mówisz, wnioskuję, że łączy was dużo więcej niż tylko jeden pocałunek.
- To jeszcze nie oznacza zobowiązań na całe życie. Nie mogę wezwać go na dywanik i spytać o jego intencje.
- Dobrze, to twoja decyzja. Ale widzę, że taki stan zawieszenia doprowadza cię do szału. Jesteś pewna, że jego żona nie żyje? - spytała po chwili.
- Tak mówił.
- Mężczyźni różne rzeczy mówią.
- O co ci chodzi? Sugerujesz, że ma chorą umysłowo żonę i trzyma ją związaną na strychu, tak jak pan Rochester?
- Nie zaszkodzi trochę popytać w miasteczku. Carol spojrzała na nią z oburzeniem.
- Jane, jeśli zaczniesz biegać po Strathmere i wypytywać o Taya, zamorduję cię.
- Będę bardzo dyskretna.

- Nie rób tego. Zabraniam ci.

- Krótkie było to drugie śniadanie - zauważyła Jane, słysząc świdrujący bębenki uszu dźwięk młota pneumatycznego.

- My też możemy wracać do roboty - powiedziała Carol, siadając za stołem. - Do egzaminu zostało coraz mniej czasu.

Jane spojrzała na zegarek.

- O trzeciej muszę wyjść - przypomniała. Carol kiwnęła głową.

- I nie martw się Tayem Kirklandem - dodała Jane. - Coś mi mówi, że wasza znajomość na tym się skończy.

Carol nie odpowiedziała. Nie była tego taka pewna.

Niedługo po wyjściu Jane sprzed domu zniknęli też robotnicy. Zrobiło się bardzo cicho. Stojąc przy zlewie, Carol zauważyła przez okno, że auto Kirklanda wciąż stoi na podjeździe. Przyjrzała się uważniej i zobaczyła, że Tay siedzi za kierownicą i rozmawia przez telefon. Spojrzała na zegar. Co on tam robi przez ponad pół godziny po odjeździe jego ekipy? Po chwili Tay zakończył rozmowę, złożył ręce na kierownicy i oparł o nie głowę.

Coś ją zaniepokoiło.

Carol rzuciła się do drzwi. Nawet jeśli Tay nie chce jej widzieć, to tym razem będzie musiał z nią porozmawiać.

Dopiero kiedy stanęła tuż obok, Tay zdał sobie sprawę z jej obecności.

- Tay - powiedziała cicho.

Kirkland podniósł głowę i Carol zauważyła na jego czole kropelki potu.

- Co się stało? - spytała z niepokojem. - Co ci jest? Rzeczywiście wyglądał jak kupka nieszczęścia.

- Wypadł mi dysk - odparł, patrząc przed siebie. - Chłopaków już nie było, kiedy okazało się, że nie jestem w stanie prowadzić samochodu. Próbowałem wezwać pomoc przez telefon.

- Dlaczego nie zawołałeś mnie? Byłam przecież tuż obok.

Tay spojrzał na nią i zaraz odwrócił wzrok.

- Bałem się, że nie zechcesz ze mną rozmawiać. - Carol uznała, że nie pora teraz na długą dyskusję.

- Możesz się przesunąć na drugie siedzenie? Zawiozę cię do szpitala.

- Nie.

- Nie? Chcesz tu siedzieć do końca życia?
- Za chwilę będę w stanie sam prowadzić samochód.
- Przecież przyznałeś, że od dobrych kilku minut nie możesz się ruszyć.
- „Przecież przyznałeś”. Typowe prawnicze określenie.
- Zgadza się. A teraz przestań się upierać i pozwól mi sobie pomóc.

Tay westchnął z rezygnacją.

- Umiesz prowadzić auto bez automatycznej skrzyni biegów? - spytał.
- Umiem. Nawet mimo opalenizny widać, jaki jesteś blady. Przesuń się.

Tay skulił się i z wyraźnym wysiłkiem przesunął się na sąsiednie siedzenie. Na jego czole pojawiły się nowe krople potu.

- Jak to się stało? - spytała Carol, siadając za kierownicą.
- Pierwszy raz przydarzyło mi się to jeszcze w szkole, w czasie gry w koszykówkę. Od tamtej pory co jakiś czas mam problemy z dyskiem. Całymi miesiącami funkcjonuję normalnie i czasem, nagle, kiedy się gwałtownie poruszę czy nadwerżę, znowu mam kłopoty.
- Tay, jaki ty jesteś niemądry - powiedziała cicho Carol. - Dlaczego przypuszczałeś, że nie zechcę ci pomóc?

Tay odwrócił głowę i milczał.

Carol zawiozła go do izby przyjęć szpitala w Avalon. Dwaj sanitariusze pomogli mu wysiąść z auta, położyli na noszach i wwieźli do środka. W recepcji wypełniono jego kartę. Carol dowiedziała się, że ma trzydzieści dwa lata i jest uczulony na penicylinę.

Tuż przed wniesieniem go do gabinetu lekarskiego Tay chwycił ją za rękę.

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś. Teraz już dam sobie radę. Dobranoc.
- Zaczekam na ciebie.
- Nie musisz... - zaczął, ale w tej samej chwili znalazł się w gabinecie. Carol została za drzwiami.

Usiadła na plastikowym krześle w poczekalni i rozejrzała się dokoła. Oprócz niej siedział tam jeszcze kilkunastoletni chłopak z paskudną raną na nodze i matka z niemowlęciem. Carol wzięła jakieś pismo i zaczęła czytać artykuł o akupunkturze.

Po czterdziestu minutach w poczekalni pojawił się Tay, wsparty na ramieniu sanitariusza.

- Jak się czujesz? - spytała z niepokojem Carol, podbiegając ku niemu.

- Lepiej. Dali mi zastrzyk i jeszcze receptę na jakieś pigułki. Niepotrzebnie tak długo na mnie czekałaś. Wrócę do domu taksówką.

- Nie wygłupiaj się, Tay. Jest tu przecież twoje auto. Odwiozę cię do domu.

Tay wzruszył ramionami. Wiedział, że dalsza dyskusja z Carol nie ma sensu.

Siedząc w aucie, był już pogodzony z sytuacją. Monotonnym głosem wytłumaczył Carol, dokąd ma jechać, a potem przez cały czas milczał.

Mieszkanie Taya znajdowało się nad jego warsztatem. Wiodły do niego zewnętrzne schody.

- Dasz radę wejść na górę? - spytała zaniepokojona Carol.

- Dam - odparł zdecydowanie.

Zastrzyk zmniejszył nieco ból, więc wsparty o Carol Tay wspinał się wolniutko po schodach.

- Zły jestem na siebie - rzekł nagle przez zaciśnięte zęby.

- Nie rozumiem.

- Jestem zły, że oglądasz mnie w takim stanie. - Carol milczała.

- Nie rozumiem, czemu postanowiłaś mi pomóc - dodał, unikając jej spojrzenia.

- Przecież nie mogłam cię zostawić w takim stanie. - Carol wiedziała, że nie powinna teraz rozmawiać z nim o jego zachowaniu. Ten człowiek przecież ledwo stał na nogach. Poprowadziła go przez nieskazitelnie czystą kuchnię do salonu z ogromną kanapą, kilkoma prostymi krzesłami i półkami pełnymi książek.

- Sypialnia jest tam - rzekł Tay, wskazując drogę. Carol czuła, jak mocno się o nią opiera. Był rzeczywiście wykończony. Najpierw przecież przez cały dzień ciężko pracował, a teraz od dobrych kilku godzin znosi ogromny ból. Podprowadziła go do łóżka, a Tay natychmiast z ulgą na nie opadł. Zdjęła mu buty i pomogła się ułożyć wygodnie.

- Leż spokojnie i odpoczywaj - powiedziała. - Ja pójdę zrealizować receptę.

- Nie, nie, idź do domu - zaprotestował. - Już tyle dla mnie zrobiłaś. Wytrzymam do rana.

- Zastrzyk wkrótce przestanie działać, Tay, i wtedy potrzebne ci będą te pigułki. Apteka jest przecież niedaleko. Za pół godziny będę z powrotem.

Tay westchnął z rezygnacją, wsparł się na łokciu i wyjął z kieszeni spodni receptę. Podał ją Carol wraz z banknotem i znowu opadł na poduszki.

- Zaraz wracam - powiedziała Carol. - Spróbuj się trochę zdrzemnąć.

Opuściła po spartańsku urządzonej sypialnię i zeszła na dół. Wyprawa do apteki zajęła jej rzeczywiście tylko parę minut. Kiedy wróciła, Tay spał jak zabity.

Nie mogła zostawić pigułek i pójść do domu, bo Tay nie weźmie ich w porę i znów będzie cierpieł. Choć ostatnio bardzo źle ją traktował, nie mogła go zostawić samego.

Wróciła do salonu po jakąś książkę. Zdziwiło ją, jak bezosobowe jest to wnętrze. Nie dostrzegła żadnych obrazków czy pamiątek. Ani jednego zdjęcia. Przypominało bardziej wystawę sklepu meblowego niż czyjeś mieszkanie.

Usiadła z książką na kanapie. Za dwie godziny poda Tayowi lekarstwo.

Tay obudził się rano w dużo lepszej formie. Krzyż wciąż go bolał, był jednak w stanie usiąść na łóżku i zorientować się w sytuacji. Pamiętał jak przez mgłę, że w nocy łykał pigułki.

Wstał i podtrzymując się ścian i sprzętów, przeszedł chwiejnym krokiem do salonu. Na kanapie leżała śpiąca Carol, obok niej stał budzik. Najwyraźniej budził ją, gdy przychodziła pora na kolejną porcję lekarstw.

Stał nad nią i patrzył na jej długie, ciemne rzęsy, delikatną linię podbródka, błyszczące, prawie czarne włosy. Jak to możliwe, że tyle czuje do osoby, którą zna przecież tak krótko? Czy to dlatego, że jest taki samotny? Że od śmierci Alice unika ludzi? Było to dla niego czymś zupełnie nowym.

Carol wyraźnie zalażała mu za skórę. Wystarczyło, by na niego spojrzała, a on już chciał iść z nią do łóżka. Oczywiście kochał Alice, ale kiedy się poznali, oboje właściwie byli dziećmi. Teraz Tay stał się mężczyzną i nie potrafi oprzeć się tej kobiecie, choć wie, że to może być dla niego bardzo niebezpieczne. Co robić?

Usiadł na krześle i spokojnie czekał, aż Carol się obudzi. Lubił na nią patrzeć.

Carol westchnęła, zamrużyła powiekami i otworzyła oczy.

- Nie powinieneś wstawać! - zawołała, kiedy zauważyła siedzącego obok niej Taya.

- A czemu nie? Czuję się już dużo lepiej - rzekł, siadając obok niej na kanapie. - Widzę, że spędziłaś tu całą noc.

- Nie mogłam zostawić cię samego.

- Nie zasługuję na takie względy. Carol milczała.

- Teraz pewnie powiesz, że zrobiłabyś to samo dla każdego.

- Nie zrobiłabym tego dla każdego - odparła cicho, patrząc mu w oczy.

- Wezmę prysznic i odwiozę cię do domu - rzekł.

- Nie możesz tego zrobić! Co będzie, jeśli upadniesz?

- Nie upadnę. To zdarzyło mi się nie pierwszy raz, Carol. Po dziesięciu, dwunastu godzinach mija. Wiesz mi, czuję się zupełnie nieźle.

Carol westchnęła.

- Dobrze, Tay, nie będę z tobą dyskutować. Zauważyłam w kuchni ekspres do kawy. Chyba zrobię z niego użytek.

- Kawa jest w szafce tuż nad nim.

Tay wszedł do łazienki i zdjął ubranie, które miał na sobie od dwudziestu czterech godzin. Kiedy wchodził pod prysznic, poczuł lekkie ukłucie w krzyżu, które minęło pod wpływem ciepłej wody. Namydlił się i spłukał całe ciało. Potem się ogolił. Jego szlafrok był w sypialni, owinął się więc tylko ręcznikiem i wyszedł z łazienki. Wpadł na Carol, która szła z kubkiem gorącej kawy.

- My... myślałam, że jeszcze jesteś w łazience - wyjąkała. - Chciałam ci to zanieść do sypialni.

- Dzięki - odparł Tay, wziął od niej kubek i postawił go na stoliku.

Carol zrobiła krok do tyłu.

- Chyba... powinnam, no...

Tay nachylił się i położył jej rękę na ramieniu.

- Proszę cię, nie dotykaj mnie - szepnęła. - To wszystko jest takie trudne...

- Nie masz racji - odparł Tay i po prostu wziął ją na ręce.

- Tay, twoje plecy! - krzyknęła Carol, kiedy kopnięciem otwierał drzwi sypialni.

- Nic mnie nie obchodzi - mruknął, kładąc ją na łóżku. Myślał tylko o tym, jak bardzo jej pragnie. Kiedy Carol zlizwała kropelkę wody z jego ramienia, zadrżał. Nachylił głowę i muskał wargami jej szyję, potem, nie wypuszczając Carol z objęć, zaczął rozpinać jej bluzkę.

- Słyszysz coś? - spytała słabym głosem Carol.

- Nie słyszę - mruknął, odpinając jej stanik.

- To pukanie. Ktoś puka do drzwi. - Tay uniósł głowę.

- Jest za piętnaście siódma. Rano.

- Wiem, która jest godzina, Tay, ale jednak ktoś jest za drzwiami.

Tay nasłuchiwał przez chwilę, potem wymamrotał przez zaciśnięte zęby coś, czego, na szczęście, Carol nie dosłyszała.

- Zostań tu - polecił.

Owinięty ręcznikiem, który do tej pory, o dziwo, wciąż okrywał jego biodra, wstał z łóżka, włożył szlafrok i wyszedł z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

- Cześć, jak się czujesz? - powitał go Mike.

- Dobrze. Co się stało?

- No, wiesz - zaczął robotnik - moja kuzynka, Gloria, pracuje w szpitalu w Avalon i powiedziała mi, że wczoraj podczas jej zmiany byłeś w izbie przyjęć. Od tamtej pory przez cały czas do ciebie dzwoniłem, ale nikt nie odbierał telefonu.

- Pewnie aparat się popsuł. Miałem drobne kłopoty z kręgosłupem, ale już po wszystkim.

- Na pewno?

- Na pewno. Będę na budowie trochę później. Dzięki za troskę, ale naprawdę nic mi nie jest.

Mike wzruszył ramionami.

- Dobrze, Tay. No, to do zobaczenia na budowie. Robotnik wyszedł, a Tay wrócił do Carol.

- To był Mike, mój pracownik - rzekł, siadając obok niej na łóżku.

- I?

Tay przygładził ręką włosy.

- Okazało się, że jego kuzynka jest pielęgniarką w szpitalu w Avalon. Widziała mnie i powiedziała o tym Mike'owi. Mówił, że dzwonił do mnie przez całą noc.

- Wyłączyłam telefon. Chciałam, żebyś się wyspał. - Tay uśmiechnął się.

- I rzeczywiście się wyspałem.

Carol patrzyła na niego wyczekująco.

- Chyba powinienem wyjaśnić ci parę rzeczy. Carol skinęła głową.

- Może przyjadę po ciebie wieczorem i zjemy razem kolację? O ósmej?

- Niech będzie o ósmej, ale tylko pod warunkiem, że będziesz się dobrze czuł.

- Będę. Rano muszę zrobić prześwietlenie. Ta baba w szpitalu nie chciała mi dać recepty, dopóki nie obiecałem, że to zrobię. Chcą sprawdzić, czy nie mam zerwanych więzadeł czy czegoś w tym rodzaju. Mogę cię odwiedzić do domu po drodze do szpitala?

- Możesz mnie odwiedzić do domu.

Tay ujął jej rękę i pocałował. Taka czułość bardzo ją zaskoczyła.

- Dzięki za opiekę - powiedział.

- Nie ma za co.

- Jest parę rzeczy, które muszę ci powiedzieć, Carol.

- Co?

- Nic mnie nie łączy z Madeline. I nigdy nie łączyło.

- Wierzę ci.

- A jeśli chodzi o ten dzień, kiedy zaprosiłaś mnie na kawę i na obiad, to zjawiłem się sam, bo wiedziałem, że nie będzie Jane. Podśluchałem poprzedniego dnia waszą rozmowę.

Carol uśmiechnęła się.

- Chyba lepiej się ubiorę - rzekł Tay, uśmiechnął się i wyszedł z pokoju.

Kiedy Jane przyjechała na codzienną wspólną naukę, Carol akurat przymierzała sukienkę, którą miała zamiar włożyć wieczorem. Zdjęła ją szybko i wrzuciła do szafy.

Nie chciała, żeby Jane wiedziała o jej umówionym spotkaniu z Tayem. Było ono dla niej zbyt ważne.

Czuła, że coraz bardziej zakochuje się w Tayu Kirk-landzie.

- Mam mnóstwo nowych informacji o twoim chłopaku - oznajmiła Jane, zaglądając do sypialni.

- No, no! Mów.

- Nie dostanę nawet filiżanki kawy?

- Jest tam, gdzie zwykle. W kuchni, w dzbanku. Mów, co wiesz.

- Ależ jesteśmy ciekawi, co? - Dziewczęta przeszły do kuchni i usiadły przy stole. - Jedna z kelnerek u Catera była bardzo rozmowna.

- Jeśli okaże się, że chodziłaś po mieście i wszystkich wypytywałaś o Taya, to cię uduszę.

- Wcale nie wypytywałam. Wczoraj wieczorem wstąpiłam tam z Julie Campbell i wspomniałam, że Tay Kirkland remontuje twój dom. Ta kelnerka, Betty, sama zaczęła o nim mówić, naprawdę. Tay to miejscowa legenda. Okazuje się, że był żonaty z Alice Mayfield.

- A to kto?

- Jedyne dziecko Chestera Mayfielda. Słyszałaś chyba o jego firmie?
 - To przedsiębiorstwo o międzynarodowej renomie produkujące najwyższej klasy szkło i porcelanę?
 - Owszem. Mayfieldowie mają z tego kupę forsy.
 - I bogatym rodzicom nie podobał się związek ukochanej jedynaczki?
 - Dokładnie to określiłaś. Mayfieldowie mają letni dom w Avalon, a Tay był tam kiedyś ratownikiem na plaży. Alice i on zakochali się w sobie jak Romeo i Julia i całe miasto miało o czym gadać. Berty, ta kelnerka, chodziła z Tayem do szkoły i mówiła, że razem wyglądali tak pięknie, iż nie wiadomo było, kogo najpierw podziwiać. Kiedy tylko Alice skończyła osiemnaście lat, uciekli z miasteczka.
 - I rodzina się jej wyrzekła? - Jane skinęła głową.
 - Mieszkali tutaj, a Tay otworzył firmę. Mieli dziecko, dziewczynkę, i wszyscy mówią, że byli bardzo szczęśliwi.
 - A potem Alice zginęła.
 - Tak. I wtedy dziadkowie zaczęli walczyć o prawo do opieki nad wnuczką. I, jak się możesz domyślić, wygrali.
- Carol z niedowierzaniem pokręciła głową.
- Jak im się to udało?
 - Nikt nie wie. Tay milczy jak sfinks, ale od tamtej pory ciągle krążą o nim różne plotki. Narkotyki, alkohol, molestowanie nieletnich...
 - Daj spokój, Jane. Znasz go przecież i chyba w to nie wierzysz? Temu człowiekowi tylko praca w głowie.
 - Może kiedyś był inny? Mógł przecież zmienić się po śmierci żony. A dlaczego teściom udało się odebrać mu córkę, Carol? Znasz przecież prawo. Wiesz, że bardzo trudno pozbawić praw rodzicielskich ojca, który chce wychowywać swoje dziecko.

Carol milczała. Jane miała rację.

- A więc od czasu kiedy stracił swoją córeczkę, pracuje jak opętany i w ogóle nie chce rozmawiać o swoich sprawach - mówiła dalej Jane. - Ludzie mówią, że rok temu wdał się w bójkę z facetem, który ośmielił się go o to zapytać. .. A właśnie, skoro już o nim mowa, gdzie jest Tay?

- Miał coś ważnego do załatwienia.

- No, my przecież też. Popatrz, pożyczyciłam od Julie notatki na temat...

Carol nie słuchała.

Jane uderzyła ją lekko w ramię.

- Hej, Carol. Mamy coraz mniej czasu. Zapomnij o Tayu Kirklandzie choć na kilka godzin i poświęć się nauce.

Carol niezbyt przytomnym wzrokiem spojrzała na przyjaciółkę i skinęła głową. W końcu nadejdzie wieczór i spotkanie z Tayem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tego wieczora Carol trzy razy zmieniała strój, zanim była gotowa na spotkanie z Tayem. Miała dosyć ograniczony wybór, bo z Nowego Jorku przywiozła mało rzeczy, w końcu jednak zdecydowała się na jedwabną szmizjerkę w kolorze kości słoniowej, odpowiednią właściwie na każdą okazję. Włosy związała w węzeł, w uszy wpięła kolczyki, włożyła pantofle na obcasach. W stroju tak kontrastującym z podkoszulkiem i szortami, które ostatnio nosiła, wyglądała bardzo elegancko i kobieco. Była jednak zdenerwowana.

Za pięć ósma przed jej dom zajechał błyszczący, granatowy sportowy samochód. Zdziwiła się, widząc, że wysiada z niego Tay. Była pewna, że jeździ tylko swoją wysłużoną półciężarówką. Miał na sobie lekką, brązową marynarkę, brunatne spodnie i kremowy krawat we wzory.

Carol z uśmiechem powitała go w drzwiach.

- Czy to jakaś dobra wróżka zamieniła twego grata w tę piękną limuzynę? - spytała.

- Tak rzadko nią jeżdżę, że zupełnie o niej zapomniałem - odparł. - Pięknie wyglądasz.

- Dziękuję.

Wsiedli więc do tego wspaniałego pojazdu i wyjechali na szosę.

- Dokąd jedziemy? - spytała Carol.

- Tylko do Avalon. Jest tam taka restauracja, zwana „U Rosemary”. Znasz ją?

Carol kiwnęła głową.

- Ojciec często tam bywał, kiedy spędzał tu lato.

- Serwują tam bardzo dobre włoskie jedzenie. Zamówiłem stolik na pół do dziewiątej.

- Fajnie.

Tay spojrział na nią kątem oka.

- Pewnie wydają ci się bardzo tajemniczy, co? - spytał. - Nic nie mówię o mojej przeszłości, o moim życiu. Dlaczego uciekłem tamtej nocy.

- Tak.

- Wcale tego nie chciałem. Po prostu mnie zaskoczyłaś.

- Ja cię zaskoczyłam?

- Moja reakcja na ciebie mnie zaskoczyła - uściślił.

- Doprawdy?

- Nie byłem przygotowany na żadne zmiany w moim życiu. Od tak dawna żyję tylko dla jednego celu. Muszę mieć znakomicie prosperującą firmę, żeby móc odzyskać córkę.

Carol milczała.

- Mówiłem ci, że mała nie jest ze mną - dodał. - Mieszka z rodzicami mojej zmarłej żony.

Carol siedziała nieruchomo. Słuchała.

- Oni są jej prawnymi opiekunami. Ja mogę ją tylko odwiedzać.

- Bardzo ci współczuję.

- To długa historia. Nie chcę nudzić cię szczegółami. Rodzice Alice byli przeciwni naszemu małżeństwu do tego stopnia, że jeszcze kiedy ze sobą chodziliśmy, pod różnymi pretekstami próbowali wsadzić mnie do więzienia. Oskarżali mnie o wszystko, rozsiewali plotki. Myśleli, że chodzi mi o pieniądze Alice. Są bogaci i wykorzystywali wszystkie swoje wpływy i znajomości, żeby nas rozdzielić. My jednak mimo wszystko wzięliśmy ślub i żeby udowodnić im, że się mylą, założyłem własną firmę. Ciężko pracowałem, żeby ją rozwinąć i zapewnić ich córce godziwe warunki życia. Udało się i Alice całkowicie zerwała z rodziną. Była na nich wściekła, że chcą ją rządzić.

- Czy kiedykolwiek się pogodzili? Tay pokręcił głową.

- Alice od dnia naszego ślubu nie odezwała się do nich ani słowem, a potem zginęła. Oni byli tak na nią obrażeni, że też nie starali się jej wybaczyć. Moje sukcesy doprowadzały ich do szału. Pewnie chcieli, byśmy zdychali z głodu i błagali ich o pomoc. Wtedy mogliby z satysfakcją powiedzieć: „A nie mówiliśmy?”

- To chyba niezbyt sympatyczni ludzie, co? - zauważyła cicho Carol.

- Mają ogromne wpływy. A tacy ludzie nie znoszą sprzeciwu.

- Ale jednak nie udało im się zmusić córki, by z tobą zerwała.

- Nie i tego mi nigdy nie wybaczą. Kiedy okazało się, że Alice już nigdy do nich nie wróci, zaczęli myśleć tylko o zemście na mnie.

- O zemście?

- Kilka dni po pogrzebie Alice dostałem pismo, że występują do sądu o prawa do opieki nad dzieckiem.

- Na jakiej podstawie?

- Że jestem samotny, pracuję po całych dniach, nie mam stałych zleceń i nie zapewnię ich jedynej wnuczce odpowiedniej opieki.

Carol westchnęła.

- Mogli się w końcu na mnie zemścić. Stali się opiekunami dziecka Alice i pozbawili mnie praw rodzicielskich. Na pewno są z siebie dumni.

- Oczywiście próbowałem walczyć - mówił dalej, po chwili milczenia. - Oni jednak mają lepszych adwokatów. Udowodnili, że mają środki, by posłać Alicję do najlepszych szkół, kupić jej wszystko, czego zapragnie. Ja zarabiałem całkiem nieźle, ale nie mogłem się z nimi równać. Sędzia był starszym człowiekiem i wyraźnie traktował mnie jak na smarkatego nieroba, który uwiódł jedyną córkę takich porządnych ludzi jak Mayfieldowie.

- Biedny Tay.

Z zaciśniętymi ustami Tay zaparkował przed restauracją.

- Odwoływałem się od tej decyzji, ale na próżno. Wydałem na to wszystkie pieniądze i potem musiałem zaczynać od nowa. Musi minąć pięć lat, zanim jakiś adwokat znowu zechce zająć się tą sprawą.

- Dlaczego aż pięć lat?

- Muszę udowodnić, iż moja firma nie jest efemerydą, że dobrze prosperuje, a ja będę w stanie wychowywać Alicję, opłacić jej prywatną szkołę, lekcje muzyki i jazdy konnej i wszystko to, co mogą zapewnić jej dziadkowie. Muszę mieć też dość pieniędzy na dobrego adwokata, na kogoś, kto stawi czoło siwowłosym dżentelmenom, których zatrudniają Mayfieldowie.

- Twoja córka ma teraz siedem lat?

- Tak.

Wysiedli z auta i ruszyli chodnikiem.

- A więc miała zaledwie dwa lata, kiedy ci ją zabrano? - spytała Carol, gdy stanęli pod kolorową markizą z nazwą restauracji.

- Zgadza się.

- Czy ona wie, kim jesteś, kiedy ją odwiedzasz? - Tay otworzył duże, szklane drzwi.

- O, tak - odparł z goryczą. - Mówi do mnie „tato”, czasem „tato Tayu”. Jestem pewien, że Mayfieldowie bardzo się starają, by uważała dziadka za swego „ prawdziwego” ojca.

- To rozumiałe, Tay, miała przecież tylko dwa lata, gdy ci ją odebrali.

Usiedli przy małym stoliku przy oknie i kontynuowali rozmowę.

- Wiem, że miała tylko dwa lata, Carol, ale ci ludzie ukradli mi dziecko! Sam bym się nią opiekował - nikt jej nie kochał tak jak ja. Kiedy u nich zamieszkała, prawie jej nie znali! Tylko dlatego, że mieli więcej pieniędzy i że sędzia uznał mnie za nieodpowiedzialnego smarkacza, musiałem ją im oddać. Byłem bezsilny. Niczego nie mogłem zrobić. Dlaczego nasze prawo na to pozwala?

- Sprawy o przyznanie praw opiekuńczych są bardzo skomplikowane, Tay. Zawsze ktoś przegrywa.

- A tym kimś jest zawsze ten, kto ma mniej pieniędzy - zauważył z goryczą Tay. Carol nie odpowiedziała.

- Nie powiesz mi, że rodzice Alice dostaliby Alicję, gdyby byli zwykłymi, utrzymującymi się z pensji ludźmi - mówił dalej Tay, nie patrząc na nią. - Pracownicy opieki społecznej, prawnicy, sędziowie, wszyscy byli pod wrażeniem wysokości konta Mayfieldów. Oczywiście, wszechmocni Mayfieldowie zapewnią dziecku lepszą opiekę niż jego ojciec, który buduje werandy. Sam nie wiem, po co w ogóle próbowałem walczyć o swoje dziecko. To była strata czasu. I pieniędzy.

- Próbowałeś, bo kochałeś swoją córkę - powiedziała Carol. - I nadal ją kochasz.

- I co z tego?

- Nie rozumiesz. Alicja kiedyś dorośnie i dowie się, jak o nią walczyłeś.

- Jeśli to będzie zależało od Mayfieldów, to nigdy się o tym nie dowie.

Przy stoliku pojawił się kelner i nalał im po kieliszku wina.

- Będą się starali usunąć mnie z jej życia. Już to czuję. Alicja opowiada mi o ich znajomych, pięknym domu, w którym mieszka, o wakacjach, zawodach tenisowych i o kucyku. Wiem, że chcą w nią wpoić przekonanie, iż jej matka była młoda i po prostu popełniła błąd, wychodząc za mnie. Wkrótce nie będzie chciała mnie widywać, później będzie się wstydzić własnego ojca. To jest nieuniknione.

- Chyba że wcześniej zaczniesz działać. - Tay kiwnął głową.

- Nawet już zacząłem. W zeszłym tygodniu widziałem się z jednym adwokatem, potem chcę porozmawiać jeszcze z kilkoma. Muszę być pewny, że tym razem mi się uda... - Przerwał i podał Carol kartę. - Przepraszam, że nudzę cię tymi opowieściami o moich problemach, ale...

- Wcale mnie nie nudzisz. To prawdziwa tragedia. Bardzo ci współczuję, Tay. To musiało być straszne. Najpierw straciłeś żonę, a potem zabrano ci jedyne dziecko.

- Myślałem, że zwariuję - wyznał. - Pracowałem jak szalony. Nie byłem w stanie siedzieć w nagle opustoszałym domu.

Znowu podszedł kelner i przyjął zamówienie. Pogrążona w myślach Carol wybrała pierwsze lepsze dania. Zupełnie straciła apetyt.

- Oto cała moja historia - rzekł ze słabym uśmiechem Tay. - Teraz opowiedz mi swoją.

- Moja na szczęście nie jest taka smutna. Raczej nudna.

- Jak kobieta z taką urodą mogła mieć nudne życie?

- Jakoś mi się to udało.

- Nie żartuj. Nie miałaś żadnych adoratorów?

- Kilku. Ale żaden nie był... - Chciała powiedzieć „taki jak ty”, ale w porę ugryzła się w język.

- Jaki?

Carol wzruszyła ramionami.

- Z żadnym nie chciałam spędzić reszty życia.

- A ja od pięciu lat mam do czynienia tylko z projektami i kontraktami.

Carol spojrzała mu w oczy. Przez chwilę oboje milczeli. Pojawił się kelner z tacą pełną zakąsek.

- Co to jest? - spytała Carol, patrząc na talerz Taya.

- Faszerowane karczochy. Chcesz spróbować?

- Nie, dzięki. Wolę krewetki.

- Moja żona przepadała za szampanem, ale mogliśmy pozwolić sobie tylko na piwo. Uwielbiała też karczochy, ale nie stać nas było, by nadziewać je tym, czym należy - kawiozem, brie, sałatką z krewetek. Kiedy wreszcie zacząłem porządnie zarabiać i już prawie mogłem zapewnić jej to wszystko, do czego przywykła, zginęła.

Carol przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

- Jak to się stało? - spytała cicho.

- Jej samochód wpadł w poślizg. Nie było w tym niczyjej winy. I to właśnie było najgorsze. Zginęła przez głupi przypadek. Pojechała, żeby dokupić trochę materiału na zasłony, i już więcej jej nie zobaczyłem.

- To straszne.

- Bez przerwy o tym myślałem. Jak to się stało? Czy na moment spojrzała w bok? Nie zauważyła zakrętu? Schyliła się po coś? Najgorsze było to, że nie znałem żadnych szczegółów.

- Nadal dręczy cię to, co ją spotkało?

- Czasami. Głównie w nocy. Śni mi się huk, pisk opon... - Tay spuścił wzrok.

Carol odłożyła widelec.

- Przepraszam - rzekł po chwili Tay. - Przeze mnie straciłaś apetyt.

- Nie, nie. Już się najadłam.

- Jedną krewetkę.

- Dwiema.

- Rosemarie będzie przykro. Mnie zresztą też. - Carol nadziała krewetkę na widelec i włożyła ją do ust.

- Brawo!

Tay wypił łyk wina, ale Carol odstawiła swój kieliszek. Chciała być całkowicie trzeźwa.

- Czy to jakaś egzotyczna potrawa? - spytała, kiedy podano im główne danie.

- Przecież karczochy to nic szczególnego.

- A co nam oprócz nich podano?

- Kałamarnicę.

- O rany! Wiedziałam! Czemu nie możesz, jak normalny człowiek, zjeść spaghetti?

- Spaghetti jest nudne i pospolite.

- Ale mojego kurczaka w sosie cytrynowym się bałeś.

- Mam zaufanie do Rosemarie.

- Bardzo ci dziękuję.

- Od wielu lat u niej jadam. Jeszcze za życia Alice wpadaliśmy tu, jak tylko mogliśmy sobie na to pozwolić.

- Byliście szczęśliwi, prawda?
 - Tak. Kiedy okazało się, że Alice jest w ciąży, też tu przyszliśmy.
 - Ciekawe, czy znajdziesz kiedyś kobietę, która mogłaby ci ją zastąpić?
 - Bardzo długo byłem pewien, że nie.
 - Jaka ona była?
 - Zupełnie inna niż ty - odparł, ku zaskoczeniu Carol.
 - Nie rozumiem - powiedziała bardzo ostrożnie.
 - Nie była taka samodzielna i niezależna. Była jedynaczką, wszystko podsuwano jej pod nos. Potem zamieszkaliśmy razem i wszystko się zmieniło.
 - Poświęciła to wszystko dla ciebie.
 - Byliśmy jeszcze dziećmi. Wtedy wszystko nam się wydawało proste. Nie smakuje ci? - spytał, wskazując Carol jej talerz.
 - Bardzo smaczne. Ale chyba nie jestem głodna. Tay pokręcił głową
 - Jesz tyle, co ptaszek. Może poproszę kelnera, żeby ci podał jakąś inną potrawę?
 - Nie, naprawdę nie jestem głodna. Wypiję tylko kawę.
 - Ty i ta twoja przyjaciółka żywiecie się tylko kawą. Nie słyszałaś, że kofeina szkodzi?
 - Żaden student prawa nie potrafi żyć bez kawy. Albo czegoś gorszego.
- Tay zamówił kawę i począł kontynuować temat rozmowy.
- Jest aż tak ciężko?
 - Owszem. Straszny stres, szczególnie na pierwszym roku. Profesorowie chcą sprawdzić, czy dasz sobie radę na sali sądowej. Wiele osób tego nie wytrzyma. A nauki przez całe studia jest mnóstwo.
 - Ale ty jakoś sobie radzisz, prawda?
 - Chciałam udowodnić ojcu, że wytrzymam.
 - Czyżby w to wątpił?
 - Raczej może nie chciał, żebym studiowała prawo. Lubił kobiety uległe. W końcu jednak pogodził się z moją decyzją i przyjechał na wręczenie dyplomów.
 - Twoja matka była uległa?

- Pozwoliła mu wierzyć, że właśnie taka jest. Była bardzo mądra, więc schlebiała jego próżności i w rezultacie zawsze robił wszystko, co chciała. Ja postanowiłam być bardziej otwarta i zdecydowana.

- Różnica pokoleń.

- Tak, chyba tak.

Przez chwilę w milczeniu pili kawę.

- Kiedy chcesz złożyć wniosek do sądu? - spytała po chwili Carol.

- Jak tylko znajdę odpowiedniego adwokata.

- Życzę ci szczęścia.

- Na pewno mi się przyda.

Tay z ulgą zmienił temat. Przez chwilę mówił o remoncie domu Carol, potem zamilkł zupełnie. Milczał też przez całą drogę powrotną do Strathmere.

- Chciałbym wejść na chwilę, jeśli mogę - rzekł, kiedy zajechali przed jej dom.

- Oczywiście.

Carol nie знаła przyczyny tej nagłej zmiany nastroju. Z wyrazu jego twarzy nic nie potrafiła wyczytać.

- Masz na coś ochotę? - spytała, kiedy weszli do środka.

Tay pokręcił głową. Usiadł dopiero wówczas, kiedy ona opadła na kanapę.

- To takie trudne - rzekł w końcu przez ściśnięte gardło.

- Co? Co takiego, Tay? Powiedz.

- Nie możemy się więcej spotykać - wyjąkał. Carol patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Wyjaśniłem ci sytuację z moją córką, ale o jednej rzeczy nie powiedziałem.

Carol nie odrywała od niego oczu. Z trudem przełknęła ślinę.

- Prawnik, z którym się spotkałem, powiedział mi, że nie mogę nawiązywać żadnych intymnych stosunków. To byłaby pierwsza rzecz, o jaką Mayfieldowie oskarżą mnie w sądzie. Powiedzą, że sypiam z różnymi kobietami. Stwierdzą, iż to niemoralne i szkodliwe dla zdrowia. Że taka atmosfera jest niewłaściwa dla dziecka. Znasz te argumenty. Na pewno się z nimi zetknęłaś w swojej praktyce.

- Ale jeśli tylko będziemy się spotykać i nie...

- To niemożliwe, Carol. Oboje o tym wiemy. Choćbyśmy nie wiem jak się starali, wcześniej czy później i tak... - przerwał i wzruszył ramionami.

- Od kiedy to wiesz? - spytała szeptem Carol.

- Od początku. Już wcześniej mi to mówiono. Ten adwokat tylko potwierdził to, co i tak wiedziałem. To dlatego starałem się do ciebie nie zbliżać, pamiętasz?

- Pamiętam, że przyjechałeś tu za mną - zauważyła Carol.

- To był błąd. Po prostu nie byłem w stanie się powstrzymać.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. Umówiłeś się dziś ze mną tylko po to, ażeby mi powiedzieć, że nie będziemy się już więcej spotykać?

Tay milczał.

- Zadałam ci pytanie.

- Tak.

- Jak to miło z twojej strony. Doceniam twoje wysiłki. Pewnie czułeś, że po tym, na co sobie... pozwoliłeś, należy mi się kulturalne pożegnanie, co?

- O ile pamiętam, to i ty nie byłeś bierna - zauważył Tay.

- Jak śmiesz! - krzyknęła Carol, czując, jak do oczu napływają jej łzy. - Od początku wiedziałeś, że nic z tego nie będzie. Byłeś przekonany, że znajomość ze mną zaszkodzi twojej sprawie, a jednak mnie całowałeś!

- Pragnąłem cię. Teraz też cię pragnę.

- Nic mnie to nie obchodzi! Ile ty masz lat? Pięć? Widzisz ładną zabawkę i musisz ją mieć? - Carol wstała gwałtownie i wierzchem dłoni wytarła oczy. - Rozumiem, że odzyskanie córki jest dla ciebie najważniejszą rzeczą na świecie. Dla mnie też by było. Wiem też, że masz rację, myśląc, że Mayfieldowie wykorzystaliby naszą znajomość przeciwko tobie. Gdybym była ich adwokatem, sama bym im to doradziła. Nie rozumiem tylko, jak mogłeś choć na chwilę o tym zapomnieć i przyjść tu do mnie, choć wiedziałeś, jak to się musi skończyć!

- Nie myślałem o tym - przyznał bezradnie Tay.

- To w końcu pomyśl! Czy nie rozumiesz, jaki byłeś okrutny? Omotałeś mnie, sprawiłeś, że zaczęło mi na tobie zależeć, a teraz depreczujesz moje uczucia, jak coś niepotrzebnego!

- Carol, nie... - Tay wstał i zrobił krok w jej kierunku. Powstrzymała go ruchem dłoni.

- Oszukałeś mnie. Nie powiedziałeś mi, jakie masz problemy. Trzeba się było trzymać ode mnie z daleka.

- A gdybyś to ty była na moim miejscu, trzymałabyś się ode mnie z daleka? - zapytał Tay.

Carol spojrzała na niego, ocierając łzy.

- Bądź wobec mnie uczciwy - szepnęła. - Zrób to, czego nie będziesz musiał żałować. Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Carol, nie chcę, żeby to się tak skończyło...

- Pewnie, że nie chcesz. Pragniesz, żebym uwolniła cię od poczucia winy, ale na mnie nie licz. Nie chcę cię widywać. Możesz tu przychodzić tylko do pracy. Mam nadzieję, że szybko ją zakończysz. Nie odzywaj się do mnie, nie dzwoń, nie kontaktuj się ze mną. Jeśli będziesz miał mi coś do przekazania, poproś o pośrednictwo Johna Spencera. A teraz już idź.

Tay nie ruszył się z miejsca.

- Chyba słyszałeś - powiedziała.

Tay odwrócił się, spojrzał na nią przez ramię i otworzył usta.

- Wynoś się stąd! - powtórzyła Carol. Tay zniknął za drzwiami.

Carol przez chwilę stała jak wmurowana, potem ukryła twarz w dłoniach.

Tay spojrzał na stojący na szafce budzik, potem z powrotem na sufit. Była trzecia nad ranem, a on nie mógł zasnąć, choć musiał wstać o siódmej. Nie mógł jednak spać, przez cały czas stała mu przed oczami twarz Carol, której słowa wciąż brzmiały mu w uszach.

Wiedział, że miała rację.

Ułożył się na brzuchu i wcisnął twarz w poduszkę. Chciał pozbyć się prześladowających go obrazów. Jak mógł być takim idiotą? Posunął się za daleko, jak małe dziecko, które powtarza sobie: „Jeszcze tylko jeden cukierek, jeszcze tylko jeden program w telewizji, jeszcze tylko dzisiaj”. Nic dziwnego, że Carol dostała szału. Nie mógł jednak ryzykować. Mayfieldowie na pewno wynajmą detektywów, kiedy tylko dowiedzą się, że złożył podanie w sądzie. Będą go śledzić dzień i noc. Natychmiast odkryją jego znajomość z Carol. Od niego tylko zależy, by nie mogli go o nic oskarżyć.

Uderzył pięścią w poduszkę i zrzucił na podłogę kołdrę. To niesprawiedliwe! Nie można zmuszać człowieka do takiego wyboru. Teraz, po pięciu latach starań, nie może jednak zrezygnować z szansy odzyskania Alicji. Niebawem sąd uzna, że zmiana otoczenia będzie dla niej niekorzystna. Musi działać natychmiast.

Ułożył się znów na wznak i patrzył w sufit.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Łaskawy los sprawił, że przez następne kilka dni padało, więc ekipa Taya nie pracowała w domu Carol. Jane nie chciało się wychodzić z domu w taką pogodę, okoliczne posesje były puste, więc Carol mogła w spokoju uczyć się i rozmyślać.

Nie były to przyjemne myśli. Próbowwała usunąć Taya z pamięci, ale wracał tam w najmniej spodziewanych momentach: kiedy oglądała jakiś wykres czy tabelkę, kiedy czytała notatki, a nawet wówczas, kiedy słuchała taśm i głos wykładowcy stawał się głosem Taya. Wiedziała, że nie powinna marnować ani chwili, ale trudno jej było o nim zapomnieć. Nawiedzał ją nawet w snach.

Czwartego deszczowego dnia Carol z podręcznikiem siedziała w wannie, kiedy zadzwonił telefon. Klnąc pod nosem wybiegła z łazienki, owinęła się ręcznikiem i wpadła do sypialni.

- Halo?

- Carol, tu Jane. Włączyłaś już dzisiaj radio albo telewizor?

- Nie, od rana się uczę.

- Tak myślałam. Ostrzegają przed sztormem. Zauważyłaś, że wiatr się wzmacnia?

- Tak, chyba rzeczywiście trochę - odparła Carol, spoglądając przez okno na gnące się drzewa.

- Ładne mi trochę! Mówią, że wiatr wieje już z siłą huraganu. Spodziewają się największego sztormu od lat.

- No to co? Mam szukać arki?

- Uciekaj stamtąd jak najszybciej! Jesteś na półwyspie, który już nieraz był zatopiony. W latach dwudziestych powódź zmiotła cztery przecznice. Zauważyłaś, że pierwszy dom, znajdujący się najbliżej plaży, oznaczony jest numerem piątym?

- To co mam robić?

- Przyjedź do mnie.

- W taką ulewę?

- Lepiej jechać, niż płynąć. Ja nie żartuję, Carol. Włącz telewizor i słuchaj poleceń ewakuacyjnych. Wyrzyj przez okno. Widzisz przed domami jakieś auta?

Carol odchyliła zasłonę i wyrzała na dwór.

- Nie, żadnego.

- To znaczy, że wszyscy już wyjechali. Nie znają cię. Nikt ci nie pomoże. Poza tym pewnie myślą, że słyszałaś ostrzegawcze komunikaty.

- Dobrze, dobrze - przerwała jej Carol. - Spakuję swoje rzeczy i przyjadę do ciebie.

- Zrób to natychmiast, dopóki masz szansę opuszczenia półwyspu - poleciła Jane i odłożyła słuchawkę.

Carol wróciła do łazienki, opłukała się, wytarła i ubrała. Pakowała właśnie swoje rzeczy do torby, kiedy usłyszała walenie do drzwi.

Przeszła do salonu i wyjrzała przez okno. Na podjeździe błyskał światłami samochód służb miejskich. Poprzez gęstą zasłonę deszczu na końcu ulicy dojrzała kilku mężczyzn w żółtych pelerynach ustawiających zaporę. Westchnęła i otworzyła drzwi.

Na werandzie stał Tay w przemoczonej do suchej nitki granatowej bluzie z kapturem. Nie udało jej się zamknąć mu drzwi przed nosem, bo zablokował je stopą.

- Spadaj - powiedziała, mocując się z drzwiami.

- Carol, musisz opuścić dom. Ulica zaraz będzie zamknięta.

- A co tobie do tego? Zatrudniłeś się w służbach miejskich?

- Przyjechałem tu, bo wiem, że jesteś uparta i nie zechcesz się stąd ruszyć i, jak się okazuje, miałem rację - odparł, wdzierając się do środka.

- Jeśli cię to interesuje, to wcale nie jestem uparta, tylko nie włączałam ani radia, ani telewizora, więc nie słyszałam komunikatów.

- Tak jesteś zajęta nauką, że nie widzisz nic dookoła, co? Deszczu też nie zauważyłaś?

- Oczywiście, że zauważyłam. Pada przecież od czterech dni. Cieszyłam się, bo dzięki niemu ciebie tutaj nie było. I teraz też się stąd wynoś.

- Bez ciebie się nie ruszę.

- Jeśli myślisz, że z tobą pójdę, to chyba zwariowałeś - odparła.

- To się jeszcze okaże.

- Zresztą i tak miałam zamiar stąd wyjechać.

- Może się zdziwisz, ale ci nie wierzę.

- Myślisz, że potrafię kłamać tak jak ty? - warknęła Carol.

Tay wierzchem dłoni otarł twarz.

- Pójdiesz ze mną z własnej woli, czy mam cię do tego zmusić? - spytał, lekceważąc jej słowa.

Carol spojrzała na niego z oburzeniem.

- Nie ośmielisz się.

- Chcesz się przekonać? Carol nie odpowiedziała.

- Zastanów się. Chcesz, żeby ci ludzie zobaczyli, jak wynoszę cię z domu wrzeszczącą i wierzgającą, i wrzucam do auta, czy też wyjdiesz sama?

- Dokąd? - spytała krótko, wyraźnie zrezygnowana Carol.

- Do mnie.

- Ty rzeczywiście zwariowałaś. Jadę do Jane.

- Nic z tego. Nie słuchałaś komunikatów, więc nie wiesz, że most jest zamknięty i nie ma dojazdu do miasta. Jeśli nie chcesz zatrzymać się u mnie, masz jeszcze do wyboru motel po drodze, ale założę się, że nie mają tam już ani jednego wolnego łóżka.

- Dlaczego most jest zamknięty?

- Woda przerwała tamę i wszystkich ewakuowano. Mój dom jest zbudowany na wzgórzu, więc powinien być bezpieczny.

Carol poczuła się jak w pułapce. Z rezygnacją wrzuciła resztę rzeczy do torby i zasunęła zamek.

- Ale nie zostanę ani chwili dłużej, niż to będzie konieczne - oznajmiła.

- Zgoda.

- Między nami to nic nie zmieni.

- Rozumiem. Możemy skończyć tę dyskusję i ruszać? Poziom wody z każdą chwilą się podnosi.

Carol nie odpowiedziała, ale zgasiła światło w salonie, włożyła pelerynę i wyszła przed dom. Wypuściła Taya i zamknęła drzwi na klucz, choć wydało jej się to bez sensu. Do wieczora dom pewnie i tak znajdzie się pod wodą. Jest, co prawda, ubezpieczony, ale cała robota Taya pójdzie na marne. Prawie było jej go żal. Prawie.

Zanim zrobiła kilka kroków, była już zupełnie przemoczona. Z ulgą wsiadła do półciązarówki Taya. Silnik kaszlnął kilka razy, ale jednak zaskoczył. Jak amfibią, ruszyli w górę ulicy. Po kilku metrach zatrzymał ich machaniem chorągiewką jeden z ustawiających zapory mężczyzn.

- Wzięliście wszystko, co będzie wam potrzebne? - spytał. - Za chwilę zamkniemy tę drogę. Będziecie tu mogli wrócić dopiero wtedy, gdy woda opadnie.

Tay kiwnął głową.

- Którędy jedziecie? - pytał dalej mężczyzna.

- Przez cały czas prosto - odparł Tay. Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie da rady. Tam wszystko już jest pod wodą. Musi pan skręcić w lewo i objechać zalany teren.

- Dobrze.

- I więcej niech pan już dziś nie jeździ. To nie jest pogoda na przejażdżki.

Tay znowu kiwnął głową i ruszył we wskazanym kierunku. Wewnątrz auta słychać było tylko dudnienie deszczu o dach i szum wycieraczek. Tay jechał bardzo wolno i ostrożnie, omijając zagradzające co chwila drogę gałęzie i kamienie. Mijali porzucone na poboczu auta z zalanymi silnikami i szarpane przez wiatr, pozrywane linie wysokiego napięcia. Dopiero wtedy Carol uświadomiła sobie, że Tay naprawdę uratował ją od nieszczęścia.

Zatrzymali się na światłach. Nagle silnik zaczął się krztusić. Carol z niepokojem spojrzała na Taya.

- Nie bój się - rzekł uspokajająco. - Nawet jak samochód wysiądzie, stąd już można dotrzeć do mojego domu piechotą.

Carol kiwnęła głową. Ona też wiedziała, że są już niedaleko.

Silnik na szczęście zaskoczył i mijali właśnie zalane skrzyżowanie, kiedy Carol zauważyła małe, sportowe auto, które utknęło pośrodku ulicy. Przez zaparowaną szybę dojrzała w nim młodą kobietę z dwójką małych dzieci. Tay też zauważył, co się dzieje.

- Zatrzymam się tu na chwilę - rzekł, parkując ostrożnie swoją półciężarówkę za samochodem.

Nie gasząc silnika, wyskoczył z auta. Za moment był z powrotem. Podał Carol niemowlę i wrócił po matkę i drugie dziecko.

- Bardzo państwu dziękuję - powiedziała kobieta, sadowiąc się na tylnym siedzeniu. - Silnik mi zgasł i utknęłam tu z nimi na dobre. Mijały mnie różne auta, ale nikt się nie zatrzymał. A Tommy jest taki mały i jeszcze Sara...

- Gdzie pani mieszka? - przerwał ten monolog Tay.

- Tylko kilka przecznic stąd, ale w taką pogodę...

- Proszę mi pokazać, którędy mam jechać.

Kobieta posłusznie wykonała polecenie Taya. Drogę, choć rzeczywiście była krótka, przebyli w ciągu piętnastu minut. Wjechali na podjazd i Tay błyskawicznie wniósł dzieci do domu. Smagana podmuchami wiatru, kobieta pobiegła za nimi.

- Niech pana Bóg błogosławi - krzyknęła, kiedy odjeżdżali.

- Masz wielbicielek na całe życie - zauważyła Carol.

- Szkoda, że tylko tę jedną - odparł, patrząc na nią z ukosa.

Carol udała, że nie słyszy tego, co powiedział.

- Już niedaleko, prawda? - spytała, teraz już naprawdę zaniepokojona. Niebo było zasnuwane czarnymi chmurami, deszcz wciąż padał.

- Prawie jesteśmy na miejscu.

Kiedy przed jej oczami pojawił się dom Taya, odmówiła cichą modlitwę dziękczynną.

Tay podjechał przed ganek, wyskoczył z samochodu i pomógł wysiąść Carol. Wbiegli do domu i Tay natychmiast zamknął drzwi.

Carol zdjęła mokry płaszcz i odgarnęła z czoła włosy. Tay podał jej torbę.

- Jeśli chcesz, możesz się przebrać w sypialni - rzekł.

- Chętnie.

W sypialni, za zamkniętymi drzwiami, włożyła suche dżinsy i podkoszulek. Kiedy wróciła do kuchni, Tay też już miał na sobie suche ubranie i nalewał właśnie do dwóch szklanek whisky.

- Ja dziękuję - powiedziała.

- O rany, nie wygłupiaj się. Przecież nie chcę cię upić - mruknął z irytacją Tay. - Widzę, że trzęsiesz się z zimna.

- A więc napiję się herbaty - odparła. Tay spojrzał na nią uważnie.

- Ciekawe, co mi się w tobie tak podoba? - rzekł, jakby w zamyśleniu. - Jesteś przecież taka ponura.

- A może to ty zabiłeś we mnie całą radość, Taylor? Nie pomyślałeś o tym?

Tay gwałtownym ruchem odstawił na ladę szklankę z whisky.

- Sam nie wiem, po co ja ciebie tu przywiozłem? Może powinienem ci tylko zostawić kamizelkę ratunkową?

- Tak by chyba było lepiej! - odparowała Carol. Wcale tak nie uważała, ale wrodzona przekora dała o sobie znać. Wciąż tak bardzo go pragnęła, że musiała przez cały czas się pilnować. Była przecież w pułapce. Wokoło szalała burza.

Tay wszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Carol przez chwilę wsłuchiwała się w bębnienie deszczu o dach, potem przeszła do salonu i położyła się na kanapie. Z sypialni dobiegł ją dzwonek telefonu i głos Taya.

- Muszę wyjść - oznajmił zaraz potem, stając w drzwiach. Miał na sobie kurtkę przeciwdeszczową.
- Co? Przecież dopiero wróciłeś!
- Mam w garażu taki niewielki dźwig. Jest potrzebny, żeby usunąć z szosy poprzewracane drzewa.
- To niech po niego przyjadą. Dlaczego ty musisz go obsługiwać?
- Bo wiem, jak - odparł krótko i ruszył ku drzwiom.
- Niech któryś z twoich pracowników to zrobi.

Tay zignorował ją i wyciągnął z kieszeni robocze rękawice.

- Kiedy wrócisz? - spytała.
- Czyżbyś się o mnie martwiła? - rzekł z sarkazmem Tay i zamknął za sobą drzwi. Chyba trochę gwałtowniej niż to było konieczne.

Deszcz przestał padać około dziesiątej wieczorem. Carol zostawiła przez telefon wiadomość dla Jane, potem czytała jakieś notatki. Było to tak zajmujące, że prawie natychmiast zasnęła. Obudziła się przed północą. Taya jeszcze nie było. Już zaniepokojona snuła się po domu, patrząc to na zegar, to na telewizor. Oglądała właśnie reportaż o huraganie, kiedy usłyszała trzask frontowych drzwi.

Pobiegła do kuchni i zastała tam Taya. Przemoczony, umazany błotem, zdejmował buty.

- O nic nie pytaj - rzekł, obrzucając ją przelotnym spojrzeniem.

Nie pytała.

Tay zdjął poplamioną trawą kurtkę i ściągnął przez głowę bluzę. Carol odwróciła wzrok.

Boso podszedł do lodówki i zajrzał do niej. Wyciągnął kawałek zeschniętego sera, który Carol wcześniej uznała za niejadalny. Uśmiechnęła się, kiedy próbował go ugryźć.

- Widzę, że nie mieliście przerwy na kolację - zauważyła.

Tay wzruszył ramionami.

- Masz ochotę na omlet? - spytała.

- Z arszenikiem?

- Z powodu twoich samarytańskich dokonań ogłaszam zawieszenie broni - powiedziała Carol, wyjmując z lodówki karton z jajkami i masło.

Tay ostrożnie usiadł przy stole.

- Znowu cię bolą plecy? - spytała ostro Carol.

- Carol, moja mieszkająca na Florydzie matka codziennie do mnie dzwoni. Nie potrzebuję dwóch gderających mamusiek.

- Ja nie gderam, tylko pytam.

- Myślałem, że chcesz, żebym zniknął z tego świata, a ty mnie karmisz i pytasz o zdrowie.

- Jesteś zbyt zmęczony, by traktować cię tak, jak na to zasługujesz - odparła Carol, rozbijając jajka.

- Zawsze znajdziesz właściwą odpowiedź, co?

- Dla ciebie zawsze.

- Będzie z ciebie dobry adwokat.

Carol dodała do jajek trochę startego sera, w pojemniku na chleb znalazła kilka lekko spleśniałych kromek. Okroiła im brzegi i włożyła je do tosterka.

- Kiedy ty ostatnio robiłeś zakupy? - zainteresowała się, stawiając przed Tayem talerz z omletem.

- Kiedy było zrównanie dnia z nocą - odparł.

- Bardzo śmieszne.

- Wtedy też kupiłem mięso, które zamrożone na kość leży w zamrażalniku.

Włożył do ust pierwszy kęs omletu i mruknął z zadowoleniem.

- Twoja żona nie nauczyła cię gotować? - spytała Carol. Tay pokręcił głową.

- Nigdy nie przestała eksperymentować, ale najczęściej nasze posiłki kończyły się w restauracji.

Był naprawdę bardzo głodny. To było widać. Wyglądał też na zmęczonego, cienie pod oczami i siny zarost dodawały mu jednak jakiegoś szczególnego uroku. Na koniec Carol podała mu szklankę wody. Przyjął ją z wdzięcznością i od razu wypił duszkiem.

- Lepiej idź już do łóżka - powiedziała. - Ledwo się trzymasz na nogach.

Tay wstał posłusznie i przyniósł z sypialni koc i poduszkę.

- Co robisz? - spytała.

- Będę spał na kanapie.

- Nie, mowy nie ma! - zaprotestowała Carol, wkładając naczynia do zlewu. - Musisz się porządnie wyspać i...

- Nie kłóć się ze mną, proszę - rzekł zmęczonym głosem Tay. - Nie mam na to siły. Zrób, co mówię i śpij na łóżku, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Carol. Rzeczywiście teraz nie powinna się z nim kłócić.

- Dobranoc - burknął i zniknął w salonie.

Carol powlokła się do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Nie wzięła ze sobą piżamy, zdjęła więc tylko dżinsy i stanik, a potem wsunęła się pod koc w podkoszulku i majtkach.

Nie mogła zasnąć. Padający od tyłu dźwięk deszczu ustał i panująca cisza wydała się czymś nowym. Huragan na dworze się skończył, ale burza w sercu Carol szalała nadal.

Jak mogłaby spać, skoro przez cały czas ma przed oczami obraz właściciela tego łóżka? Jego głowa spoczywała na tej poduszce, okrywał się tym prześcieradłem. Przycisnęła nos do koca i wdychała tak jej dobrze znany męski zapach. Długo przewracała się na łóżku i wzdychała, w końcu odrzuciła przykrycie i podeszła do okna. Otworzyła je szeroko i wpatrywała się w czyste, pozbawione chmur niebo.

Na gałęziach ciągle jeszcze skrzyły się kropelki deszczu, na chodniku błyszcząły kałuże. Wciągnęła głęboko do płuc świeże, letnie powietrze i spojrzała na zegar. Była druga w nocy.

Chciało jej się pić i przypomniała sobie, że w jednej z szafek w kuchni widziała puszkę soku. Jak większość zapasów Taya, pokryta była warstwą kurzu, ale jej zawartość powinna być w porządku. Carol podeszła do drzwi i otworzyła je ostrożnie, żeby nie zbudzić Taya.

Weszła do kuchni i w progu stanęła jak wryta.

Przy stole siedział Tay, ubrany w te same dżinsy, brakowało tylko grubego, skórzanego pasa. Palił papierosa, przed nim stała szklanka z odrobiną jakiegoś brązowego płynu.

- Byłam pewna, że śpisz - zauważyła Carol.

- No to się pomyliłaś.

- Myślałam, że byłeś zmęczony.

- Może i tak, ale nie mogę zasnąć.

- Czemu?

- Sam nie wiem, może świadomość, że leżysz tam za ścianą w tak ponętym stroju, ma coś z tym wspólnego.

Carol spieszyła się. Podkoszulek, który miała na sobie, rzeczywiście był bardzo kusy, a majteczki właściwie niczego nie zakrywały.

- Przecież nie wiedziałeś, co mam na sobie - próbowała się bronić.

- Byłem pewien, że na pewno mniej niż przedtem - zauważył spokojnie, głęboko zaciągając się dymem.

- Nie wiedziałam, że palisz.

- Kiedyś paliłem, ale Alice mi to wyperswadowała. Wygląda na to, że znowu zacząłem.

- Masz jakieś problemy?

Odpowiedział jej krótkim wybuchem śmiechu.

- Posłuchaj, Tay - powiedziała. - Bardzo mi przykro, że moja tu obecność jest dla ciebie krępująca, ale nie znalazłam się tu przecież z własnej woli. Wyniosę się stąd, jak tylko...

Tay przerwał jej machnięciem ręki.

- To nie twoja wina. Czy jesteś tu, u siebie w domu, czy na Wenus, to nie ma znaczenia. Przez cały czas myślę tylko o tym, żeby się z tobą kochać.

- Tay, przecież postanowiliśmy...

- Wiem, do cholery, co postanowiliśmy, i pamiętam, że to był mój pomysł. Nie musisz mi o tym przypominać, bo zdaję sobie z tego sprawę aż za dobrze. Nie wiedziałem tylko, że będzie to takie trudne. Kiedy zaczęło padać i nie widziałem cię przez trzy dni, myślałem, że zwariuję z tęsknoty. A potem, kiedy uświadomiłem sobie, że jesteś tam uwięziona podczas tej strasznej burzy...

Carol poczuła dziwny ucisk w gardle. Wiedziała, że powinna być na niego zła za to, co jej zrobił, ale współczuła mu, bo widziała, że i on cierpi. Podeszła do niego i położyła rękę na jego nagim ramieniu. Tay odwrócił głowę i musnął wargami jej palec.

- Proszę - szepnęła. - Tylko ten jeden raz.

- Tay, nie łudźmy się. Przecież oboje wiemy, że nasz związek nie ma żadnych perspektyw - tłumaczyła mu. Pragnęła go tak samo, jak on jej.

- Pragnę cię - rzekł. Odłożył papierosa i objął ją w pasie. Carol przymknęła oczy i przytuliła jego głowę do swej piersi.

Czy to ważne, że jutro przypomni sobie o swojej córce i znowu od niej ucieknie? Na zawsze przecież zostanie jej wspomnienie tej nocy.

Zanurzyła twarz w jego włosach i poczuła, jak wsuwa ręce pod jej podkoszulek i pieści nagie plecy. Potem podciągnął podkoszulek wyżej i wziął do ust sutkę. Jęknęła i zacisnęła mocno palce na jego ramionach.

- Już od tak dawna marzę, żeby się z tobą kochać -szeptał. - Od dnia, kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy.

Zaczął pieścić ustami drugą sutkę, a potem nagle posadził Carol sobie na kolanach.

Czuła, jak bardzo jest podniecony. Poszukała jego ust. Smakowały tytoniem i whisky. Nie wytrzymała dłużej.

Wstał, wziął Carol na ręce i zaniósł do sypialni. Położył ją na łóżku, a ona zarzuciła mu ręce na szyję.

Zdjął jej podkoszulek i całował ramiona, szyję i piersi. Leżąc pod nim, pojękiwała cichutko i pieściła jego plecy i ramiona. Kiedy zsunął się w dół i lizał jej pępek, uniosła ku niemu biodra. Kiedy poczuła jego język tam, gdzie najbardziej tego pragnęła, krzyknęła i zanurzyła palce w jego włosach.

Na moment uniósł głowę. Carol chwyciła guzik jego spodni. Pomógł jej go odpiąć, potem już sam błyskawicznie się rozebrał. Wrócił, a ona oplotła go nogami i wzięła do ręki jego twardą, pulsującą męskość.

- Dobrze? - szepnęła.

Wygięty w łuk Tay tylko głośno jęknął.

- Chcesz mnie teraz? - spytała.

- Tak, tak, tak - zamruczał.

Wszedł w nią głęboko. Tak, tego właśnie chcieli. Teraz, w tej chwili.

Tay leżał z głową opartą na jej ramieniu i Carol myślała, że śpi. Kiedy jednak na niego spojrzała, zobaczyła, że oczy ma otwarte.

- A podobno byłeś zmęczony - powiedziała, a on się tylko uśmiechnął.

- Co robiłeś z tym dźwigiem?

- Odblokowaliśmy drogi, usunęliśmy zwalone drzewa i połamane konary.

- Niezła zabawa.

Tay wzruszył ramionami.

- Już nieraz widziałem takie burze. Nie byłoby tak źle, gdyby nie ten deszcz. Ledwo widzieliśmy, co robimy.

- To była najbardziej gwałtowna burza, jaką pamiętasz?

- Nie, skąd. Czasami bywało gorzej. - Musnął dłonią jej biodro. - Dziś po raz pierwszy kochałem się z prawniczką.

Carol parsknęła śmiechem.

- Była jakaś różnica?

- Nie bardzo wiem, jak na to odpowiedzieć. Wszyscy prawnicy, jakich znam, to mężczyźni.

- Przeszkadza ci to?

- Co?

- Mój zawód?

- Kochanie, wpadłem, jak tylko cię ujrzałem. Nawet gdybym później odkrył, że pracujesz w zakładzie pogrzebowym, niczego by to nie zmieniło.

- Jak to dziwnie się dzieje - powiedziała w zadumie Carol. - Żyjesz sobie, spotykasz różnych ludzi, bywa ci miło... No, wiesz, nie jest źle, ale jakoś tak... zwyczajnie. A potem nagle poznajesz kogoś i wiesz, że to on i jest zupełnie inaczej...

Tay uniósł się na łokciu i z poważną miną muskał palcem jej wargi.

- Carol, ja...

Carol też położyła mu palec na ustach.

- Proszę, nie mów o tym. Rozumiem. Zostałam z tobą, bo tego chciałam. Nie traćmy czasu na rozmowy.

Pocałowała go i rzeczywiście już dłużej nie rozmawiali.

Kiedy Carol obudziła się ponownie, była sama w zalanej słońcem sypialni Taya. Usiadła oparta o poduszki i cieszyła się dawno nie widzianym widokiem.

Uznała go za dobry znak.

Jakby na potwierdzenie tej myśli w drzwiach stanął świeżo wykąpany i ogolony Tay. Miał na sobie czystą koszulę i brązowe spodnie. Podał jej kubek z kawą.

- Nie śpię już od kilku godzin i wszystko przemyślałem - rzekł. - Wiem, co powinniśmy zrobić.

- Co takiego? - spytała Carol.

- Pobrać się.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Carol patrzyła na niego w milczeniu.

- Rozumiesz? Carol pokręciła głową.

- Mayfieldowie nie będą mogli ci niczego zarzucić, jeśli będziemy małżeństwem. Nie nazwą cię moją kochanką czy nawet przyjaciółką, bo nasz związek będzie legalny. Nasze małżeństwo na zawsze usunie tę broń z ich arsenału.

Carol odwróciła wzrok.

- O co ci chodzi? - spytał Tay. - To ty jesteś prawniczką. Powiedz, czy nie dobrze to obmyśliłem?

- Tay, nie chcę wychodzić za ciebie, żeby pokrzyżować plany Mayfieldom.

Tay spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Nie chcesz za mnie wyjść?

- Oczywiście, że chcę. Pragnę jednak, żebym to ja była powodem naszego ślubu, a nie twoja córka.

Tay usiadł obok niej na łóżku i ujął jej rękę.

- Przepraszam cię, że nie były to szczególnie romantyczne oświadczenia - rzekł.

- Zresztą ja i tak nie mogę teraz wyjść za mąż.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, za dwa tygodnie mam egzamin.

- I te dwie rzeczy się wzajemnie wykluczają?

- Muszę się skupić na nauce, a to naprawdę wcale nie jest takie proste. A po drugie, jak tylko skończysz remont mojego domu, przeprowadzam się z powrotem do Nowego Jorku.

- To przenieś się do mnie.

- Tay, nie mogę tego zrobić. Pod koniec lata muszę wrócić do firmy. Liczą tam na mnie.

- To wobec tego się zaręczmy. Sąd na pewno oceni ten fakt pozytywnie, a pobierzemy się później, kiedy już załatwisz wszystkie swoje sprawy zawodowe.

Carol patrzyła na niego niepewnie. Mówił, co prawda, to, co rzeczywiście chciała usłyszeć, ale coś ją w tych oświadczeniach niepokoiło.

Nie powiedział, że ją kocha. Pragnie jej, jest mu potrzebna do odzyskania dziecka, ale czy to wystarczy?

Jakby czując jej wahanie, Tay uklęknął obok łóżka i uniósł jej dłoń do swych ust.

- Carol, posłuchaj - rzekł cicho, patrząc jej prosto w oczy. - Mam już dość samotności. Chcę, żebyś za mnie wyszła i została ze mną na zawsze. Zgadzasz się?

Carol czuła, jak do jej oczu napływają łzy. Pogładziła Taya po policzku.

- Wyjdę za ciebie - powiedziała. Nachyliła się, objęła go za szyję i pociągnęła na łóżko.

- Kiedy? - szepnął, całując jej szyję.

- Za kilka miesięcy, kiedy wszystko się ułoży. Ty wystąpisz do sądu o odzyskanie praw opiekuńczych, ja wrócę do Nowego Jorku i potem zdecydujemy, kiedy.

- Ale ja chcę teraz. - Odchylił prześcieradło i pieścił jej nagie udo.

- Wkrótce - szepnęła. Dłużej już nie rozmawiali.

Przez najbliższe dwa miesiące Carol bezustannie czuła się jak na karuzeli. Dom, który podczas burzy niewiele ucierpiał, został wystawiony na sprzedaż, jak tylko Tay zakończył remont. Carol wróciła do swego mieszkania w Greenwich Village i we wrześniu, tuż po zdaniu egzaminu, wróciła do pracy w firmie prawniczej Appletona i Smytha. Wyników egzaminu wciąż jeszcze nie było, ale Carol postanowiła na razie o tym nie myśleć.

Była taka szczęśliwa.

Tay spędzał z nią każdy weekend, a ona pomagała mu w przygotowaniach do rozprawy sądowej i poszukiwaniu odpowiedniego adwokata. Odwiedzili już kilku, kiedy Carol uznała, że przeczyta najlepszego kandydata.

Harold Smyth, współwłaściciel firmy, w której pracowała, i od dwóch lat jej szef, zgodził się zająć sprawą Taya. Wpierw jednak zapoznał się z poprzednim orzeczeniem i upewnił, że jego honorarium nie jest dla Taya za wysokie.

Carol była uradowana. Smyth nie tylko był specjalistą w sprawach o odzyskanie praw rodzicielskich, ale w kręgach prawniczych cieszył się reputacją porównywalną z tą, jaką mieli adwokaci zatrudnieni przez Mayfieldów. Choć nie pochodził ze starej bostońskiej rodziny, był dobrze znany, miał licencję obejmującą stan New Jersey i na pewno zrobi dobre wrażenie na sędzim. Wymyślił, by podstawą wniosku o ponowne rozpatrzenie sprawy był fakt, że poprzedni sędzia był przyjacielem adwokata Mayfieldów.

Pewnego wrześniowego popołudnia Carol siedziała w swoim pokoiku w firmie, kiedy sekretarka Smytha poinformowała ją, że w sali konferencyjnej czeka na nią niejaki pan Bartholomew Reed.

Nazwisko to było jej znane, ale Carol nie mogła w żaden sposób skojarzyć go z konkretną osobą. Patrzyła z niepokojem na elegancko ubranego starszego mężczyznę o siwych włosach i zielonych oczach, który wstał na jej widok.

- Panna Lansing? Bardzo mi miło - rzekł, wyciągając rękę. - Jestem Bartholomew Reed. Reprezentuję Chestera i Reginę Mayfieldów w sprawie o prawa do opieki nad ich wnuczką. Chciałbym z panią chwilę porozmawiać.

Carol odwzajemniła uścisk dłoni.

- Obawiam się, że źle pana poinformowano - odparła trochę zła, bo dopiero wtedy przypomniała sobie, skąd zna jego nazwisko. Widniało na przesłanych Tayowi dokumentach. - To pan Harold Smyth reprezentuje powoda w tej sprawie i z nim powinien pan rozmawiać. Ja nie mam jeszcze uprawnień...

Reed uśmiechnął się szeroko.

- Ależ panno Lansing, bądźmy szczerzy. Pani skromność jest godna podziwu, ale nie oszukujmy się. Harold Smyth nie tknąłby sprawy Kirklanda, gdyby nie pani pośrednictwo.

- Jest pan bardzo dobrze poinformowany, panie Reed.

- W naszym zawodzie to konieczność. Jak rozumiem, coś łączy panią z Taylorem Kirklandem.

- Jesteśmy zaręczeni, panie Reed. To żadna tajemnica, ale nie mam zamiaru o tym z panem rozmawiać.

- Sędziego jednak ten fakt może zainteresować.

- Jak już panu powiedziałam, nie mam jeszcze uprawnień. Asystuję przy tej sprawie jako praktykantka i jeśli zechce pan to wykorzystać w sądzie, to bardzo proszę. A teraz pan wybacz, jestem zajęta - zakończyła Carol i omijając go, ruszyła ku drzwiom. Reed zmrużył oczy.

- Czy wpadło pani może kiedyś do głowy, że zainteresowanie panią Taylora Kirklanda może nie być tak szczere, jak się pani wydaje?

- Nie rozumiem - odparła Carol tonem równie lodowatym jak jego spojrzenie.

- Pani obecność w jego życiu ogromnie ułatwiła mu przygotowania do procesu, dając także możliwość zaprezentowania sądowi przyszłej pełnej rodziny, z obojgiem rodziców i podwójnymi dochodami.

- Naszą rozmowę uważam za skończoną, panie Reed - oznajmiła Carol, odwracając się do niego plecami.

- Taylor Kirkland zrobi wszystko, żeby odzyskać córkę - rzekł Reed, przytrzymując ją za ramię. - Nie wiem, czy pani wie, że reprezentuję Mayfieldów od trzydziestu lat i że to ja byłem ich adwokatem podczas pierwszej sprawy. Występowałem więc już przeciwko temu młodemu człowiekowi, widziałem, jak działa i jestem pełen podziwu dla jego siły perswazji.

Carol milczała.

- Kirkland jest przystojny i pełen wdzięku, a to idealne cechy oszusta. Jestem nie tylko adwokatem Mayfieldów, ale i ich osobistym przyjacielem i obserwowałem, jak manipulował i uwiódł Alice Mayfield. Przy nim zapomniała o wszystkim, czego nauczyli ją rodzice. Była skromnym, chowanym pod kloszem dzieckiem, chodziła do szkoły dla dziewcząt i zupełnie nie umiała poradzić sobie z takim cwaniakiem jak Kirkland. Dla niego porzuciła rodziców i doprowadziła ich do rozpacz.

Carol gwałtownym ruchem wyswobodziła się z jego uścisku.

- Żegnam pana.

- Przypuszczam, że wie pani, iż uczucia Kirklanda wobec córki nie są tak zupełnie bezinteresowne - oznajmił Reed.

Carol otworzyła szeroko oczy.

- Alicja jest bogata. Babka zostawiła jej sporą sumkę, z której większość będzie mogła podjąć dopiero po ukończeniu osiemnastu lat. Opiekująca się nią osoba do tej chwili ma prawo zarządzać tymi pieniędzmi i korzystać z zysków, jakie przynoszą.

- Tay ma dość pieniędzy.

- Ależ pani jest naiwna! Nikt nigdy nie ma ich za dużo. A o ile pamiętam, Taylor Kirkland od wczesnego dzieciństwa próbował zdobyć majątek.

- Dzięki ciężkiej pracy! - krzyknęła Carol, bardziej przejęta tą rewelacją, niż dała po sobie poznać.

- Dzięki kobietom - odparł Reed, zadowolony, że w końcu jego słowa zaniepokoiły Carol. - Najpierw Alice Mayfield, teraz pani i jego jedyna córka.

- Nie mam zamiaru ciągnąć dalej tej rozmowy, panie Reed. Rozprawa jest wyznaczona na trzeciego października i wtedy się zobaczymy - zakończyła i ruszyła ku drzwiom.

- Niech pani pomyśli o tym, co powiedziałem - zdążył jeszcze zawołać za nią Reed.

Carol wróciła do swojego gabinetu i dopiero wtedy, kiedy usłyszała zamykające się za Reedem drzwi windy, spróbowała wrócić do pracy. Na próżno. Słowa adwokata wciąż dźwięczały jej w uszach.

Naprawdę wierzyła Tayowi, ale dlaczego nie powiedział jej o pieniądzach Alicji? Czy o tym zapomniał? To prawda, że Carol ogromnie mu pomogła w przygotowaniu się do rozprawy i od dwóch miesięcy właściwie tylko tym się zajmowała. Wiedziała, że to normalne, iż Reed stara się znaleźć słabe punkty przeciwnika i że jego wizyta u niej świadczy, że ma z tym trudności. Czuła się jednak nieswojo. Nie mogła się uskarżać na brak zainteresowania ze strony Taya, ale dlaczego nigdy nie powiedział, że ją kocha? Czyżby słowa tak wiele dla niego znaczyły? A może nie wyznał jej miłości, bo rzeczywiście ją wykorzystuje? Ale czy oszusta stać by było na taką delikatność? Na żadne z tych pytań nie znajdowała odpowiedzi.

Carol wchodziła właśnie do swojego mieszkania, kiedy usłyszała dzwonek telefonu. Przebiegła przez salon, po drodze rzucając na kanapę torebkę i teczkę, i podniosła słuchawkę.

- Halo? - powiedziała, opierając się o niski murek oddzielający pokój od kuchni.

- Carol? Tu John Spencer - usłyszała męski głos.

- Cześć, John. Jak się masz?

- Ja dobrze, a ty? Odkąd wróciłaś do Nowego Jorku, w ogóle się nie odzywasz.

- Przepraszam cię, jestem taka zajęta...

- Słyszałem, słyszałem. Moje gratulacje z okazji zaręczyn.

- Domyślałem się, że bardzo się zdziwiłeś, kiedy usłyszałeś o mnie i o Tayu.

- Nie tak bardzo, jak myślisz. Nawet kiedy skakaliście sobie do oczu, widać było, że coś się między wami rodzi.

Carol wybuchnęła śmiechem.

- Kochanie, bardzo mi przykro, że muszę zakłócić twój dobry nastrój złymi wiadomościami. Dzwoniła niedawno do mnie Gloria Ashland, informując, że chce udziału w zyskach ze sprzedaży domu w Strathmere. Twierdzi, że ma świadków, iż twój ojciec chciał jej go podarować.

Carol ciężko westchnęła. Akurat tego jej było teraz trzeba - byłej flamy ojca z wyciągniętą ręką.

- Powiedz jej, że dostanie wszystko, co zostanie po uregulowaniu opłat - powiedziała.

- Jesteś pewna? - zaniepokoił się John. - W testamencie twego ojca nie ma nic na ten temat. Przed sądem na pewno wygrasz i pozbędziesz się jej raz na zawsze.

- Powiedz jej, że dostanie te pieniądze. To dobry sposób, żeby jej się pozbyć. Jedna sprawa w sądzie zupełnie mi wystarczy.

- Nie rozumiem.

- Tay odwołuje się od decyzji pozbawiającej go praw opiekuńczych do córki.

- A, tak. Coś na ten temat ostatnio słyszałem - przypomniał sobie John.

- Po śmierci żony teściowie odebrali mu prawa rodzicielskie.

- Jego żona, zdaje się, pochodziła z zamożnej rodziny.

- Tak.

- Na jakiej podstawie spodziewacie się teraz pozytywnej decyzji?
- Firma Taya dobrze prosperuje i mamy zamiar się pobrać. Alicja będzie miała oboje rodziców.
- Teściowie mogą tym bardziej chcieć ją zatrzymać. Nie pozwolą, by ktokolwiek zastąpił matkę tej małej.
- Wiem.

John przez chwilę milczał.

- Ta cała sprawa z Kirklandem potoczyła się bardzo szybko, prawda, Carol? - rzekł w końcu.
- Tak, chyba masz rację.
- Jesteś pewna tego, co robisz?

Carol posmutniała. Z tonu głosu Spencera wyczuła, że adwokat ma ogromne wątpliwości, ale jest zbyt dobrze wychowany, by to wprost powiedzieć.

- Nie wiem, John - przyznała szczerze. - Zakochałam się.
- Zdaje się, że w sądzie stoczycie ciężką walkę. Nawet jeśli Kirkland wygra, nie będzie wam łatwo. Dziewczynka znajdzie się przecież w zupełnie nowej rodzinie.
- I właśnie dlatego nie chcę sobie zawracać głowy Glorią. Zrób wszystko, byle zniknęła z mego życia.
- Dobrze. Skontaktuję się z tobą, jak zawrę z nią porozumienie. I jeszcze jedno, Carol...
- Tak?

- Nie przejmuj się za bardzo tym, co powiedziałem. Czasami czuję, że powinienem zastępować ci ojca, i wtedy mówię może za dużo. Jeśli się zakochałaś, zaryzykuj. Inaczej niczego w życiu nie osiągniesz.

Carol w zamyśleniu przyglądała się swoim butom. Jej ojciec też się zakochał i również zaryzykował. I co z tego miał? Glorię.

- Carol, słyszysz, co mówię?
- Tak, słyszę. Dzięki, John. Daj mi znać, jak załatwiłeś sprawę z Glorią.

Odłożyła słuchawkę, zanim John zdążył odpowiedzieć. Wolą nie przedłużać już tej rozmowy. Spojrzała na zegar.

Chciała zadzwonić do Taya, ale pracował gdzieś w terenie i miał być w swoim biurze dopiero o szóstej. Będzie musiała poczekać.

Zdjęła pantofle i szła do łazienki, żeby wziąć prysznic, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Chciała go zignorować, ale z korytarza rozległ się głos Jane.

- Carol, otwórz, to ja.

Carol podeszła do drzwi i wpuściła przyjaciółkę.

- Cześć - powiedziała Jane, stawiając na stole ogromną papierową torbę. - Przyniosłam chińszczyznę, ale nie mieli już tych bułeczek z sezamem, które tak lubisz... - przerwała, widząc zakłopotaną minę Carol.

- Miałaś jakieś inne plany? - spytała. - Spodziewasz się Taya?

- Nie, dziś do piątej pracuje. Jesteśmy umówieni dopiero na jutro. Miałam po prostu ciężki dzień i bolą mnie nogi, i ta dziwka mojego ojca chce pieniędzy, i...

- No to siadaj. Ja się wszystkim zajmę. Czego ta chciwa baba chce?

- Zysków ze sprzedaży domu w Strathmere, ale to jeszcze nie jest najgorsze.

- A co jest najgorsze? Muszę przyznać, że jak na młodą damę zaręczoną z najprzystojniejszym mężczyzną na tym brzegu Atlantyku, nie wyglądasz szczególnie radośnie.

- Miałam dzisiaj gościa.

- Lucyfera? - dopytywała się Jane, wyciągając z torby jakiś plastikowy pojemnik.

- Można tak powiedzieć. To był adwokat Mayfieldów.

- I co on takiego zrobił, że jesteś w takim strasznie ponurym nastroju?

- Dał mi do zrozumienia, nawet dość wyraźnie, że Tay mnie wykorzystuje, żeby odzyskać Alicję.

- Daj spokój, Carol. Wiesz, że strona przeciwna zrobi wszystko, żeby cię zaniepokoić jeszcze przed procesem. Ten prawnik wyraźnie niczego przeciw tobie nie ma i przyszedł do ciebie, żeby powęszyc. Co on takiego powiedział?

- Przypomniał mi o czymś, o czym i tak już wiem. Że to ja przygotowałam Taya do procesu, znalazłam mu adwokata i że dzięki mnie będzie mógł udowodnić, że jest w stanie założyć stabilną, pełną rodzinę. Adwokat Mayfieldów powiedział mi coś jeszcze. Córka Taya odziedziczyła miliony, którymi do pełnoletności zarządzać będzie osoba będąca jej prawnym opiekunem.

- Tay ci o tym nie mówił? - zdziwiła się Jane.

- Nie.

- Musiałaś się przecież domyślać, że dziecko z takim pochodzeniem nie jest bez grosza.

- Może to głupie, ale w ogóle o tym nie myślałam. Po prostu uwierzyłam w opowieść Taya o ojcu niesprawiedliwie pozbawionym dziecka.

- A teraz masz wątpliwości?

- Ten prawnik mówił tak przekonująco...

- Bo za to mu płacą.

- Niepokoi mnie też to, że nawet nie widziałam tej małej. Była u Taya przez dwa tygodnie, zanim się poznaliśmy, ale kiedy wznowił proces, Mayfieldowie złożyli do sądu wnioski o zawieszenie wizyt do czasu wyjaśnienia sprawy. Od tamtej pory nie widział jej ani przez chwilę. A co będzie, jeśli mała mnie znenawidzi?

- Carol, znam cię i wiem, że to niemożliwe.

- Może uznać, że zajmuję miejsce jej matki.

- Miała dwa lata, kiedy Alice zginęła. Nawet jej nie pamięta. To może smutne, ale dla ciebie na pewno lepsze.

- Bóg jeden wie, co ci Mayfieldowie o mnie jej opowiadają - westchnęła Carol. - Pewnie wmawiają małej, że jestem jakąś czarownicą.

- Najprawdopodobniej w ogóle nic nie mówią, bo wierzą, że jej nie stracą.

- Sama nie wiem. Do tej pory byłam taka spokojna, a teraz nie mogę się w tym wszystkim połapać. Może dla niej lepiej by było, gdyby mogła zostać u Mayfieldów, bo od pięciu lat tam jest jej dom. Ale jest jeszcze Tay, któremu zabrano jedyne dziecko...

- Czuję, że za długo już nie widziałas swego ukochanego - zauważyła Jane, włączając piekarnik. - Jutro się z nim zobaczysz i wszelkie wątpliwości znikną. A teraz weź się w garść i nalej mi drinka. Kucharka opadła z sił. Masz odrobinę whisky?

- Chyba Tay coś zostawił.

Wciąż pogrążona w myślach, Carol poszła po butelkę.

Rano Jane wróciła do Jersey. Carol spędziła cały dzień, robiąc pranie i sprzątając. Kiedy w końcu spojrzała na zegar i zorientowała się, że Tay przybędzie za godzinę, rzuciła wszystko i pobiegła do łazienki. Wzięła prysznic i przebrała się. Przygotowywała mu właśnie drinka, kiedy zadzwonił do drzwi.

Jane miała rację. Wystarczyło jedno spojrzenie i wszystkie wątpliwości Carol zniknęły. Nie czekając, aż odłoży kwiaty, które jej przyniósł, rzuciła mu się w ramiona.

- Ależ za tobą tęskniłem - szepnął jej do ucha.

Nie wypuszczając jej z objęć i cały czas całując, prowadził ją ku sypialni. Znacząc drogę zdejmowanymi po kolei ubraniami, wylądowali na dywaniku przed łóżkiem.

- Jesteś głodny? - spytała już po wszystkim Carol. - Jane zrobiła wczoraj tyle jedzenia, że wystarczy go dla pułku wojska. Chcesz, to coś odgrzeję?

- W tej chwili nie mam siły się ruszyć. Może później - odparł, gładząc jej nagie ramię i rozglądając się po niewielkiej sypialni. - Jak ty możesz tu mieszkać? - spytał.

- Przecież ten pokój jest niniejszy niż budka telefoniczna.

- Kiedy byłem studentką, tylko na to było mnie stać. Do uczelni też miałam niedaleko. Przez jakiś czas mieszkałam nawet ze współlokatorką.

- Nie potrzebujesz współlokatorki. Ci twoi sąsiedzi z piętra są aż nadto z tobą zaprzyjaźnieni.

- Nie lubisz Nowego Jorku?

- Już nie mogę się doczekać, kiedy ze mną zamieszkaż - odparł i przymknął oczy.

- Miałam wczoraj gościa - zaczęła ostrożnie Carol, bojąc się, że Tay za chwilę zaśnie. Zauważyła paczkę papierosów, wystającą z kieszeni jego leżących na podłodze spodni. A więc nadal pali.

- Tak? - mruknął Tay, nie otwierając oczu.

- Bartholomew Reed.

- Prawnik Mayfieldów?

- Właśnie.

Tay usiadł i spojrzał na nią z lękiem.

- To spryciarz. Czego chciał?

- Powęszyć, dowiedzieć się, co planujemy.

- Czy to nie jest sprzeczne z etyką zawodową?

- Co? Kontakty adwokatów przed sprawą?

- Tak.

- Nie, ujawnianie czegokolwiek przeciwnikowi jest po prostu niemądre, aleja nie powiedziałam mu niczego, czego by nie wiedział.

- Założę się, że za to on powiedział ci coś, o czym nie wiedziałas - rzekł smutno Tay, sięgając po spodnie. Wyjął z nich papierosa i zapalił go.

- Na przykład?

- To, co mówili na poprzedniej rozprawie - że jestem cwaniaczkiem, który omotał i wykorzystał biedną, niewinną Alice Mayfield.

- Tak, sugerował coś w tym rodzaju.

- To nieprawda, Carol. Alice i ja po prostu się w sobie zakochaliśmy. To, że jej rodzice są milionerami, było dla mnie zupełnie nieistotne.

- A Alicja? - spytała Carol. Było jej głupio, ale musiała go o to zapytać.

- Nie rozumiem.

- Otrzymała spadek.

- No to co? Przecież ci mówiłem.

- Nie mówiłeś.

- Naprawdę? Jestem pewien, że tak. Zresztą mogłaś się tego domyślić.

- Reed twierdzi, że do osiągnięcia przez nią pełnoletniości pieniędzmi zarządza ten, kto jest jej prawnym opiekunem.

Tay zaciągnął się głęboko dymem i spojrzał na nią przez zmrużone oczy.

- Aaa, teraz rozumiem - rzekł cicho. - Jestem chciwym tatuśkiem, który tylko dlatego chce odzyskać swego dzieciaka, by położyć łapę na jego pieniądzech. I naciągnąłem cię, byś mi w tym pomogła, tak samo jak wcześniej oszukałem matkę Alicji. Zgadza się?

- Tak - przyznała Carol, unikając jego spojrzenia.

- I ty tego wszystkiego spokojnie wysłuchałaś?

- Nie miałam wyjścia, Tay. Byliśmy w sali konferencyjnej i...

- I co? - warknął ze złością Tay. - Przywiązał cię do krzesła? Wiesz tak dużo, że na pewno chętnie nastawiałaś ucha!

- Chciał mnie przestraszyć, Tay.

- I najwyraźniej mu się to udało. Patrzysz na mnie jak na przestępcę. - Tay zaklął i wstał.

Włożył spodnie i wsunął rękę do kieszeni. Za moment poszybowało w kierunku Carol maleńkie pudełeczko i wylądowało na jej kolanach.

- Zupełnie o tym zapomniałem - rzekł, nie patrząc na nią. - Czułem się winny z powodu tego wszystkiego. Wciągnąłem cię w moje sprawy i nawet nie podarowałem niczego z okazji zaręczyn. Więc teraz weź to.

Carol otworzyła pudełeczko i ujrzała piękny, delikatny pierścionek z diamentem, spoczywający na ciemnogrnatowej, aksamitnej poduszeczce.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba. Alice nigdy niczego nie kupowałem, nie miałem więc doświadczenia.

- Och, Tay - szepnęła Carol. Upuściła pudełeczko i wtuliła się w jego ramiona. - Bardzo cię przepraszam. Nie powinnam rozmawiać z Reedem. Trzeba go było od razu wyrzucić za drzwi.

Tay przyciągnął ją do siebie, objął mocno swymi silnymi, nagimi ramionami.

- Wybaczysz mi? - spytała.

Tay nie odpowiedział, a kiedy Carol uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, ujrzała w nich łzy.

- Musisz mi wierzyć - szepnął przez zaciśnięte zęby. - Jeśli ty mi nie uwierzysz, to kto będzie w stanie to zrobić?

- Tak, masz rację. Przepraszam.

- Wszystko będzie dobrze, jeśli będziesz przy mnie i nie przestaniesz mi ufać. Wiem, że Reed jest niezłym cwaniakiem, już raz mnie pokonał, ale tym razem będzie inaczej. Odzyskam Alicję, będziemy razem i przeszłość wyda nam się tylko złym snem.

Carol uniosła głowę i pocałowała go, a on pociągnął ją na łóżko.

W najbliższą sobotę Carol pojechała do Strathmere, żeby zobaczyć się z pośrednikiem, który zajmował się sprzedażą jej domu. Miał kilku kupców, w tym jednego gotowego zapłacić gotówką. Ów kupiec oferował jednak nieco mniej niż pozostali, więc Carol musiała się dobrze zastanowić. Choć to Gloria miała dostać pieniądze, Carol nie chciała oddawać domu właściwie za bezcen.

Po spotkaniu z pośrednikiem pojechała do domu Taya, gdzie zastała kartkę z informacją, że gospodarz wróci koło czwartej. Zajął się więc sprzątaniami. Nagle usłyszała stukanie do drzwi.

Spojrzała na zegar. Było dopiero kilka minut po trzeciej. Może to Tay wrócił wcześniej, ale czemu puka do drzwi własnego domu? Odłożyła ścierkę i podeszła do drzwi.

Na ganku stała mała dziewczynka. Miała blond włosy, niebieskie oczy i wyglądała jak replika Taya.

- Kim pani jest? - spytała. - Gdzie jest mój tata?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zaskoczona Carol przez kilka chwil nie była w stanie odpowiedzieć.

- Ty pewnie jesteś Alicja! - powiedziała w końcu. - Cieszę się, że cię widzę. Ja nazywam się Carol. Jestem... przyjaciółką twojego ojca. Wejdź, proszę. Taty nie ma, ale zaraz do niego zadzwonimy.

- Gdzie on jest? - dopytywała się Alicja, idąc za Carol korytarzem.

Miała na sobie niebieskie dżinsy i różowy sweter. W rękę trzymała niewielką torbę podróżną.

- Jest w pracy. Zaraz do niego zadzwonię. - Carol podniosła słuchawkę. - Czy twoi dziadkowie wiedzą, że tu jesteś? - spytała ostrożnie.

- Nie - odparła dziewczynka, marszcząc nos. - Wysłali mnie na jakiś wstrętny obóz. Wcale mi się tam nie podobało. Musiałam robić różne głupie rzeczy i nie mogłam jeździć na moim kucyku, a na kolację dawali ciągle tylko makaron i ohydny sok pomarańczowy. Uciekłam więc stamtąd i przyjechałam do taty.

Carol przerwała nakręcanie numeru.

- Czy powiedziałaś komuś, że wyjeżdżasz? - spytała z niepokojem.

Alicja wzruszyła ramionami.

- Gdybym zadzwoniła do babci, kazałaby mi zostać, a gdybym powiedziała wychowawczyni, zaczęłaby gadać o obowiązkach i takich tam głupotach. Wśliznęłam się więc do gabinetu kierowniczkki, kiedy nikogo tam nie było, i zadzwoniłam po kierowcę dziadka i on mnie tu przywiózł.

Carol zamknęła oczy, wyobrażając sobie spanikowanych opiekunów obozu i wściekłych Mayfieldów. Wykręciła w końcu numer biura Taya, dowiedziała się, że jest gdzieś w terenie, więc zadzwoniła na numer telefonu komórkowego. Odezwał się jeden z pracowników Taya, musiała więc chwilę poczekać.

- Carol? - usłyszała wreszcie głos Taya.

- Tay, wracaj natychmiast. Alicja jest tutaj.

To była ostatnia rzecz, jakiej Tay mógł się spodziewać.

- Gdzie? - spytał dopiero po dłuższej chwili. - W domu?

- Zgadza się. Wygląda na to, że Mayfieldowie wysłali ją na jakiś obóz, a ona stamtąd uciekła. Oni tam na pewno wariują z niepokoju, myślą pewnie, że została porwana albo stało się z nią coś jeszcze gorszego.

Tay zaklął.

- Nic jej nie jest? - spytał.

- Wszystko w porządku. Twierdzi, że namówiła szofera Mayfieldów, żeby ją tu przywiózł. Ciekawe, co zrobią, kiedy się o tym dowiedzą. Mam nadzieję, że biedak jest ubezpieczony.

- Daj mi ją do telefonu - poprosił Tay.

- Ojciec chce z tobą rozmawiać - powiedziała Carol, wręczając Alicji słuchawkę.

Dziewczynka przyjęła ją z wyraźną radością.

- Tatusiu! - zawołała wesoło.

Carol nie mogła słyszeć, co mówi Tay, ale zauważyła, jak uśmiech na twarzy Alicji powoli znika.

- Ale oni pojechali na wakacje, a mnie wysłali na obóz! - zaprotestowała w końcu. - Wybrali się na Hawaje oglądać wulkany i drzewa ananasowe, a mnie kazali jechać na jakiś śmierdzący sokiem pomarańczowym obóz!

Przez chwilę znowu słuchała Taya, a broda zaczęła jej niepokojąco drżeć.

- Tatuś jest na mnie wściekły - oznajmiła, podając Carol słuchawkę.

- Co się stało? - zapytała Taya Carol. Usłyszała ciężkie westchnienie.

- Lepiej zadzwoń natychmiast do kierownika obozu i powiedz im, że z Alicją wszystko w porządku - rzekł z rezygnacją.

- Do kogo mam zadzwonić?

- Kazałem Alicji, żeby ci powiedziała, na jakim obozie przebywała.

- Chyba jest załamana - szepnęła Carol prosto do słuchawki, kątem oka obserwując dziewczynkę.

Alicja była teraz w salonie i bawiła się pilotem telewizora. Po jej gładkim policzku toczyła się pojedyncza łza.

- I bardzo dobrze. Powiedziałem jej, co o tym wszystkim myślę. Wyobrażasz sobie, że ta smarkula zadzwoniła po szofera Mayfieldów, żeby ją tu przywiózł? Ciekawe, kto ją tego nauczył? Założę się, że ci wspaniali Mayfieldowie. A ten kierowca też jest niezły! Przyjechał po małą i wiózł ją tam, dokąd sobie życzyła, nie pytając o zgodę swych pracodawców!

- Jego chlebodawca jest przecież na wakacjach. Nie mógł się z nim skontaktować - zauważyła Carol.
- Zresztą na pewno nie pierwszy raz tak postąpiła. Poza tym, gdyby jej odmówił, byłoby jeszcze gorzej. Znalazłaby sobie jakiś inny środek transportu. Przynajmniej staruszek wie, dokąd pojechała.

- Wysłali ją na jakiś obóz, zamiast wziąć ze sobą na wakacje - rzekł z oburzeniem Tay. - Łby bym im chętnie pourwał.

- Alicja to bardzo inteligentna dziewczynka, skoro to wszystko tak sprytnie wymyśliła.
- Owszem, jest inteligentna, ale w tej akurat sytuacji wolałbym, żeby nie była. Wiesz co, zajmij się nią, a ja wrócę za dwadzieścia minut.
- Dobrze - zgodziła się Carol.
- I nie zapomnij zadzwonić do kierownika obozu.
- Zadzwonię.

Carol odłożyła słuchawkę i podeszła do Alicji, która siedziała na skraju kanapy i nie widzącym wzrokiem gapiła się w telewizor.

- Alicjo, muszę znać nazwę i dokładne miejsce obozu, żeby zadzwonić do twoich opiekunów i powiedzieć, że jesteś cała i zdrowa.

Dziewczynka spojrzała ze smutkiem na Carol i podała jej niezbędne dane.

- Dziękuję ci. Zaczekaj chwilę, zaraz wrócę.

Carol zadzwoniła do wychowawczynie, która z taką ulgą przyjęła wiadomość, że Alicja jest u ojca, że nawet słowem nie wspomniała o Mayfieldach. To Carol musiała jej przypomnieć, że dziadkowie mają dziewczynkę pod swoją opieką, i poprosić, by zadzwoniła do nich na Hawaje i poinformowała o wszystkim. Gdyby nie mogła się z nimi skontaktować, miała zostawić wiadomość.

Ciekawe, czy przerwą natychmiast swój wypoczynek i wrócą, czy też zostawią wszystko na głowie Taya, zastanawiała się Carol, odłożywszy słuchawkę.

Wróciła do siedzącej przed telewizorem Alicji.

- Tata jest naprawdę na mnie zły - powiedziała przez łzy mała.
- On się po prostu bardzo przestraszył. A dorośli często są źli, kiedy się czegoś boją. Szczególnie kiedy niebezpieczeństwo już minęło. Tatuś wie, ile złych rzeczy mogło ci się przytrafić po drodze.
- Mój tata niczego się nie boi - powiedziała z dumą Alicja, wycierając nos rękawem.

Carol wstała i podała jej chusteczkę.

- Bał się, że jakaś krzywda stanie się jego dziecku. Wszyscy ojcowie są tacy.
- Jak wróci, to nadal będzie na mnie zły? - zaniepokoiła się dziewczynka.
- Nawet jeśli tak, to szybko przypomni sobie, jak bardzo cię kocha. Możesz mi wierzyć. Ale będziesz musiała mu obiecać, że nigdy więcej czegoś takiego nie zrobisz.
- Nawet jeśli będę musiała wrócić na ten wstrętny obóz?

- Jestem pewna, że nie będziesz musiała tam wracać. Chcesz może coś zjeść? - spytała Carol, by jakoś odwrócić uwagę małej.

Alicja, rozpromieniona, skinęła głową.

- Na co byś miała ochotę? - spytała Carol, robiąc w myślach przegląd zawartości lodówki Taya. - Na jakieś owoce albo kanapkę?

- Ma pani chipsy?

- Wątpię. Ale coś pysznego na pewno się znajdzie.

Kilka minut później Carol wróciła do salonu, niosąc winogrona, jabłko i krakersy. Alicja była wyraźnie rozczarowana, ale posłusznie zaczęła jeść.

- Czy pani jest dziewczyną mojego ojca? - spytała nagle, spoglądając na Carol fiołkowymi oczami Taya.

Carol na moment zamarła.

- Ja... Tak - odparła ostrożnie.

- Wyjdzie pani za niego?

- Myślę, że lepiej będzie, jak porozmawiasz o tym z tatą - powiedziała, nie chcąc poruszać się po tym polu minowym bez Taya.

Alicja wzruszyła ramionami.

- Wiedziałam, że pewnego dnia będę miała nową mamę - oznajmiła.

- Miałaś tylko jedną mamę, Alicjo. Wiem, że bardzo cię kochała. Jeśli zostanę twoją macochą, na pewno się zaprzyjaźnimy, ale nigdy nie zajmę jej miejsca.

- Wcale jej nie pamiętam - odrzekła cicho dziewczynka.

- Wiem. Ale twój tata pamięta i dużo ci o niej opowiada, prawda?

- To nie to samo.

Carol zamilkła. Nie mogła się z tym nie zgodzić.

Czy będę musiała nazywać panią mamą? - spytała Alicja.

- Będziesz mnie nazywać, jak zechcesz. Na razie możesz mówić mi po imieniu.

Dziewczynka wkładała właśnie do ust ostatnie winogrono, kiedy w drzwiach stanął Tay.

- Tatuś! - krzyknęła radośnie mała i rzuciła mu się w ramiona.

Scena ta bardzo poruszyła Carol. Poczwała, jak łzy napływają jej do oczu.

- Na pewno macie sobie mnóstwo do powiedzenia -powiedziała cicho. - Pójdę do sypialni i poczytam, żeby wam nie przeszkadzać.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Usiadła na łóżku i próbowała czytać jakieś pismo o architekturze, ale myśli jej błądziły daleko. Zastanawiała się, jaki wpływ będzie miała ucieczka Alicji z obozu na rozprawę w sądzie. W pewnej chwili zadzwonił telefon. Usłyszała, że Tay odebrał go w salonie. Dziesięć minut później zastukał do jej drzwi.

- Wejdz.

Tay wszedł do środka.

- Wszystko w porządku? - spytała Carol. Tay skinął głową.

- Alicja i ja nagle zapragnęliśmy pójść gdzieś na lody. Przyłączysz się do nas?

Carol poszła za nim do kuchni. Alicja siedziała tam na krześle i machała nogami. Na jej buzi widoczne były ślady łez, ale nie była już smutna.

- Jak poszło? - spytała Carol, kiedy usiedli przy stoliku w jedynej w Strathmere cukierni, a Alicja czekała na zamówione przysmaki przy kontuarze.

- Chyba nieźle. Trudno ją przekonać, że nie może robić wszystkiego, co tylko przyjdzie jej do głowy, tylko dlatego, że Mayfieldowie są tacy tolerancyjni - odparł z rezygnacją Tay.

- Słyszałam, że odebrałeś jakiś telefon. Kto dzwonił?

- Sekretarka Mayfieldów z informacją, że państwo nie skrócą swoich wakacji. Ich szofer przyjedzie po Alicję we wtorek. - Tay pokręcił głową. - Nie wiem, co z tej małej wyrośnie, jak tak dalej pójdzie.

- To naprawdę bardzo miłe dziecko, Tay.

- Mogłaby być miłą dziewczynką. Dziadkowie rozpieszczają ją do niemożliwości. To rzeczywiście z natury bardzo dobre, pogodne dziecko, ale oni robią z niej straszną snobkę. Uciekła z obozu, bo wychowawcy kazali jej po sobie sprzątać i słać łóżko. Koniec świata, prawda? I w dodatku nie mogła jeździć na kucyku. Muszę się nią zająć - zakończył zdecydowanie.

Carol spojrzała na siedzącą przy kontuarze Alicję.

- To może głupie, co powiem, ale ta cała sprawa może mieć bardzo pozytywne skutki - oświadczyła.

- Na przykład, jakie?

- Z prawnego punktu widzenia fakt, że Mayfieldowie przebywają gdzieś daleko, a małą wysłali na obóz, można uznać za zaniedbanie, a w każdym razie za przejaw braku troski.

- Ale bogaci rodzice przecież zawsze tak robią.

- Nie wtedy, kiedy czeka ich proces o pozbawienie praw do opieki nad dzieckiem - odparła chłodno Carol. - Mayfieldowie najwyraźniej nie skonsultowali się w tej sprawie z Reedem, chyba że są tak pewni siebie, jak twierdzisz. Alicja bardzo to przeżyła bo inaczej by nie uciekła. W dodatku nie skrócili swojej wycieczki, by zająć się małą. Czy to nie dowód braku troski? Smyth na pewno to wykorzysta.

- Chyba masz rację.

- Oczywiście.

Alicja zjadła już swój deser i usiadła obok nich.

- Porozmawiamy o tym później - szepnął do Carol Tay. - Czy nie za wiele kalorii na raz, malutka? - zwrócił się z uśmiechem do córki.

Carol spędziła noc w motelu. Nie chciała dać adwokatowi Mayfieldów najmniejszego pretekstu do pomówień. W niedzielę całą trójką wybrali się do zoo, a wieczorem Carol musiała wracać na Manhattan.

- Do widzenia, Alicjo - powiedziała, nachylając się ku małej. - Cieszę się, że mogłyśmy spędzić razem trochę czasu.

Dziewczynka wyciągnęła do niej rękę, ale szybko zmieniła zamiar i pocałowała ją w policzek.

- Pójdziemy znowu do zoo? - spytała niepewnie.

- Na pewno.

- Idź na chwilę do salonu, córeczko - rzekł Tay. - Chcę porozmawiać z Carol, zanim wyjedzie.

Alicja posłusznie wyszła z kuchni.

- Odzyskam ją - rzekł zdecydowanym tonem Tay. -Muszę.

Carol objęła go za szyję.

- Serce mi się kraje za każdym razem, kiedy przyjeżdża po nią ta wielka, czarna limuzyna.

- Już niedługo będziesz miał córkę tylko dla siebie.

- Nie mówisz tego tak tylko, żeby mnie uspokoić?

- Nie. Jestem pewna, że wygrasz proces. Tay musnął wargami jej usta.

- Idź już - szepnął. - Zadzwoń do mnie rano.

- Zadzwońię.

Termin rozprawy się zbliżał i Carol wraz z Haroldem Smythem mieli mnóstwo pracy. Zbierali zeznania świadków i dodatkowe dokumenty. Tay nerwowo wszystkiego doglądał, świadomy, że od tego zależy jego przyszłość. Więcej palił i mniej mówił. Carol czuła, jak bardzo na nią liczy, i chwilami ogarniały ją wątpliwości.

Dopiero na sali sądowej po raz pierwszy zobaczyła Mayfieldów. Regina Mayfield była dobrze zakonserwowaną, elegancką blondynką po pięćdziesiątce. Dyskretny makijaż i gustowna biżuteria świadczyły o bogactwie tej kobiety. Jej krępy mąż siedział obok i z zaciśniętymi ustami patrzył przed siebie.

Wygłądali na bardzo zdeterminowanych.

Alicja była nieobecna. Sędzia uznał, że jest za mała, by ją przesłuchiwać i pytać, z kim chciałaby mieszkać.

Wszyscy wstali, gdy na salę weszła sędzina, tęga, sześćdziesięciokilkuletnia kobieta o nazwisku Hanson. Rozpoczęła się rozprawa.

Pierwsi przesłuchani zostali Mayfieldowie, a potem ich liczni przyjaciele i służba, którzy dowodzili, jak wspaniałymi są ludźmi i jak szczęśliwa jest Alicja pod ich opieką. Następnie zabrał głos Smyth, który oczywiście wykorzystał ucieczkę dziewczynki z obozu, by udowodnić, jak bardzo jest nieszczęśliwa i jak mało obchodzi Mayfieldów, którzy w takiej sytuacji nawet nie przerwali swoich wakacji. Reed odparował, że mała, jak to często zdarza się dzieciom, manipuluje dorosłymi, Mayfieldowie zaś są bardzo wspaniałomyślni, bo podczas swej nieobecności pozwolili jej spędzić dodatkowe kilka dni z ojcem.

Później adwokaci zaczęli przesłuchanie stron. Tay znakomicie dal sobie radę i nawet Reed nie był w stanie wyprowadzić go z równowagi. Carol była z niego bardzo dumna.

Potem przyszła kolej na nią. Pierwsze pytania Reeda dotyczyły jej sytuacji rodzinnej i wykształcenia. Carol nie bardzo wiedziała, do czego adwokat Mayfieldów zmierza.

- A czy przed zaręczynami utrzymywała pani stosunki seksualne z panem Kirklandem? - spytał nagle Reed.

Carol spojrzała na Smytha, ale nie dostrzegła w jego oczach sprzeciwu.

- Tak - odparła.

- A ile tego rodzaju związków miała pani w przeszłości?

- Wysoki Sądzie, protestuję. - Smyth zerwał się na równe nogi. - Przeszłość seksualna panny Lansing nie ma żadnego związku ze sprawą.

- Nie zgadzam się, Wysoki Sądzie - rzekł Reed. - Jeśli pan Kirkland odzyska prawa rodzicielskie do swego dziecka, panna Lansing będzie jego matką. Wszystkie sprawy jej dotyczące są istotne, skoro w przyszłości ma wyjść za ojca Alicji.

- Dobrze, panie Reed. Proszę pytać dalej. Ale ostrzegam, niech pan będzie ostrożny.

Carol była przygotowana na najgorsze, ale postanowiła się nie dać wyprowadzić z równowagi.

- Czy mam powtórzyć pytanie, panno Lansing? - spytał grzecznie Reed.

- Pamiętam pańskie pytanie. Przed panem Kirklandem miałam dwóch mężczyzn, jednego wówczas, gdy byłam w college'u, drugiego podczas studiów na uniwersytecie.

- I nie uważa pani tego za niewłaściwe w tym wieku? - pytał dalej Reed.

Tym razem Smyth nie wytrzymał.

- Wysoki Sądzie, to skandaliczne. Uznać związki z trzema mężczyznami w ciągu dwudziestu pięciu lat życia za niewłaściwe, to absurd. Panna Lansing w ogóle nie powinna odpowiadać na to pytanie.

- Zgadzam się. - Sędzina nachyliła się ku adwokatowi Mayfieldów. - Ostrzegałam pana, panie Reed.

- Wysoki Sądzie, opinia panny Lansing jest dla sprawy bardzo istotna - zaprotestował Reed.

- Proszę inaczej sformułować pytanie lub je wycofać - warknęła sędzina Hanson.

- Wycofuję - westchnął Reed. - Panno Lansing, jest pani obecnie w sporze o majątek z niejaką Glorią Ashland, zgadza się?

Zaskoczona pytaniem adwokata, Carol na moment zamilkła.

- Nieprawda - odparła po chwili.

- Czyżby? Przypominam, że zeznaje pani pod przysięgą.

- Wysoki Sądzie, proszę - rzekł z naciskiem Smyth, tym razem nawet nie wstając.

- Od przypominania jestem ja - rzekła sędzina. - Proszę, niech świadek odpowie.

- Poinstruowałam mego adwokata, pana Johna Spencera, by dał pannie Ashland wszystko, czego żąda. Nie ma między nami żadnego sporu - wyjaśniła Carol.

- Więc zaprzecza pani, że kiedykolwiek między panią a panną Ashley był spór dotyczący testamentu pani ojca? - krzyknął, wściekły już, Reed.

Tym razem Smyth zerwał się na równe nogi.

- Wysoki Sądzie, pan Reed najwyraźniej szuka jakiegoś sposobu, by zdyskredytować pannę Lansing. Sprawy dotyczące testamentu ojca nie mają żadnego związku z tą sprawą.

- Mają związek, Wysoki Sądzie - rzekł Reed.

- Co chce pan udowodnić, panie mecenasie? - spytała ostro sędzina.

- Chcę przedstawić Wysokiemu Sądowi stosunek panny Lansing do pieniędzy. Ponieważ dziecko, którego dotyczy ta sprawa, jest bogate, zainteresowanie panny Lansing jego ojcem i w rezultacie przejęcie opieki nad dziewczynką może nie być tak całkiem bezinteresownym posunięciem.

- Czy nie posuwa się pan za daleko, panie Reed? - spytała sędzina Hanson, unosząc brwi.

- Proszę pozwolić mi kontynuować. Wszystko się zaraz wyjaśni.

Sędzina z rezygnacją skinęła głową, więc Reed dalej wypytywał Carol o spory z Glorią dotyczące majątku ojca. Smyth słuchał tego przez kilka minut, w końcu nie wytrzymał.

- Wysoki Sądzie, te pytania do niczego nas nie doprowadzą. Jak dotąd, pan Reed ustalił jedynie, że panna Lansing broni swych praw do spadku po ojcu przed nie uzasadnionymi roszczeniami jego przyjaciółki, która nawet nie była jego żoną. A to nie jest bynajmniej dowód na jej „chciwość”.

Sędzina skinęła głową.

- Podzielać zdanie pana Smytha. Jeśli nie ma pan już nic do dodania, proszę zwolnić pannę Lansing i zająć się innymi świadkami.

Carol odetchnęła z ulgą i wróciła na swoje miejsce obok Taya.

- Byłaś wspaniała - szepnęła jej do ucha. - Właśnie udowodnili, że nic na nas nie mają.

Rozprawa trwała do południa, kiedy to sędzina oznajmiła, że za tydzień wyda werdykt. Nie patrząc na nikogo, Mayfieldowie i ich adwokat opuścili salę.

- Nawet na ciebie nie spojrzeli - zauważyła Carol.

- Tak jest zawsze - odparł obojętnie Tay.

- Przecież byłeś mężem ich córki. Jesteś ojcem ich wnuczki.

- Byłem nędzarzem, stwarzającym problem, którego nie udało się rozwiązać za pomocą pieniędzy. Mogą mnie więc tylko ignorować - stwierdził Tay.

- Jak poszło? - zwrócił się teraz do Smytha.

- Nie mogło być lepiej. Ale to jeszcze nie koniec. Jeśli sąd uzna, że dla dziecka lepiej będzie, jeśli pozostanie w dotychczasowym otoczeniu, może wydać wyrok dla ciebie niekorzystny.

Tay w zamyśleniu pokiwał głową. Smyth poklepał go po ramieniu.

- Nie denerwuj się niepotrzebnie. Teraz już nic nie możesz zrobić. Mam nadzieję, że docenisz, jak wiele ta wspaniała dziewczyna dla ciebie zrobiła. Przekopała akta wszystkich spraw podobnych do twojej.

Tay spojrział na Carol.

- Doceniam to bardziej, niż jestem w stanie wyrazić - rzekł cicho.

- Muszę już was pożegnać - powiedział adwokat, spoglądając na zegarek. - Będziemy w kontakcie.

Minęło dziesięć dni. Carol pracowała właśnie przy swoim biurku w firmie, kiedy szeroko uśmiechnięty Smyth wsadził głowę do jej pokoiku.

- Wygraliśmy - szepnęła, widząc akta w jego ręku. Smyth skinął głową.

- Prawa opiekuńcze przyznano ojcu dziecka - oznajmił. - Mayfieldowie mają, oczywiście, prawo do odwiedzin. Możesz zapoznać się ze szczegółami, ale wszystko sprowadza się do tego, że Kirkland odzyskał córkę.

- Zadzwonisz do niego?

- Chyba ty powinnaś zrobić to pierwsza - odparł z uśmiechem Smyth.

Carol znalazła Taya dopiero przez telefon komórkowy. Mike poinformował ją jednak, że Tay siedzi na dachu.

- Ściągnij go na dół, Mike - poprosiła. - To bardzo ważne.

- Carol? - odezwał się po chwili Tay.

- Wygrałeś - powiedziała. - Alicja jest twoja. - Nawet bez pośrednictwa telefonu usłyszałyby jego westchnienie ulgi.

- Musisz skontaktować się ze Smythem w sprawie szczegółów, ale to już tylko drobiazgi.

- Przyjadę po ciebie o ósmej i pójdziemy do tej restauracyjki za rogiem - rzekł Tay. - Musimy to uczcić.

- Będziesz jechał tu dziś aż z Jersey?

- Oczywiście. Muszę być dziś z tobą. Trzeba wszystko zaplanować.

- Do zobaczenia.

Przy kolacji Tay snuł plany dotyczące ich nowego życia z Alicją. Carol wiedziała, że dziewczynce na pewno niełatwo będzie się przystosować do nowych warunków, ale nie chciała mącić szczęścia Taya. Była zresztą pewna, że jakoś dadzą sobie radę.

Alicja miała wrócić do ojca za kilka dni i Carol zgodziła się, że najlepiej będzie, jeśli Tay odbierze ją sam. Miał zadzwonić do niej, kiedy mała oswoi się już trochę z nowym domem. Rozstali się tej nocy pełni nadziei na przyszłość.

Minęło parę dni, a Carol wciąż nie miała od Taya żadnych wiadomości. Kilka razy zostawiała informację w jego biurze, ale nie oddzwaniał. W piątek była już poważnie zaniepokojona. Postanowiła pojechać do Strathmere.

W biurze Taya Madeline poinformowała ją, że szef wyjechał na kilka dni. W pokoju był także Mike, który zachowywał się bardzo dziwnie. Kiedy Madeline wyszła na moment, Carol przyparła go do muru.

- Nieobecność szefa chyba potrwa dłużej niż kilka dni, Carol - przyznał niechętnie. - Zostawił całą firmę na mojej głowie, dał mi nawet uprawnienia, bym podpisywał czeki. Mamy skończyć wszystkie rozpoczęte prace, ale nie brać nowych.

- Kiedy ci to powiedział?

- We wtorek.

- Mówił, dokąd jedzie?

- Nie. Czy to znaczy, że o niczym ci nie powiedział? Carol mu nie odpowiedziała. Wypadła z biura i pobiegła prosto do mieszkania Taya.

Otworzyła sobie drzwi i szybko przeszła przez pokoje. Nigdzie nie było śladu czyjejkolwiek obecności. Kiedy weszła do sypialni i zajrzała do szafy, z góry wiedziała, co tam zastanie.

Szafa była pusta.

Tay zniknął.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Zapewniam cię, że musi być jakieś logiczne wytłumaczenie jego wyjazdu - stwierdziła Jane, patrząc przez okno na padający śnieg.

- Jasne - zgodziła się Carol. - Tay mnie porzucił.

- On cię kocha, Carol. Znam się na tym, bo mężczyźni to moje hobby.

- Był po prostu dobrym aktorem. Wykorzystał mnie, by odzyskać córkę, a potem wyczyścił konto i wraz z dzieckiem zniknął z miasta.

- Oświadczył ci się!

- Gdybym za niego wyszła, sędzina byłaby mu jeszcze bardziej przychylna. A ślub i tak nie przeszkodziłby mu w ucieczce. Mało znasz takich przypadków?

- Wprost nie mogę w to uwierzyć - mruknęła Jane.

- Mnie zabrało to trzy miesiące - odparła ze smutkiem Carol.

- Mayfieldowie pewnie też o niczym nie wiedzą...

- Nawet gdyby wiedzieli, i tak by mi o niczym nie powiedzieli. Uważają mnie za współniczkę Taya. Zresztą próbowałam do nich dzwonić. Bartholomew Reed poinformował później Smytha, że jeśli będę „nękać” jego klientów, wytoczą mi proces. Na pewno zatrudnili całą watahę detektywów. Bardzo chcą odzyskać Alicję, ale nie wiedzą, gdzie jest.

- Jesteś pewna? - Carol skinęła głową.

- Harold twierdzi, że próbowali się czegoś dowiedzieć na policji.

- A jak ci idzie w biurze? - Carol wzniosła oczy ku górze.

- Dzięki Bogu w zeszłym tygodniu dostaliśmy tę sprawę o morderstwo. Znalazł się więc ciekawszy temat niż ja i Taylor Kirkland.

- A szanowny pan Smyth?

- Nareszcie przestał na mnie patrzeć, jakby bał się, że za chwilę wpadnę w histerię - odparła chłodno Carol.

- Może nie był pewien, czy dostanie honorarium.

- Już dostał. Tay kazał Mike'owi zapłacić. To zdaje się było jego ostatnie zlecenie przed wyjazdem.

- Pewnie jest ci bardzo głupio, że wszyscy wiedzą, co się stało - powiedziała współczująco Jane. - Szczególnie w pracy nie jest to przyjemne.

- Owszem.

- I Mike nic nie wie?

- Tak twierdzi.

- Wierysz mu?

Carol westchnęła i skinęła głową.

- Podejrzewam, że Tay powiedział mu tylko, żeby się wszystkim zajął, i po prostu wyjechał. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to było upokarzające, że odkryłam zniknięcie Taya w obecności Mike'a. Od razu zauważyłam, że nic o tym nie wiedziałam. No i jeszcze Madeline. Może i Tay z nią nie spał, ale też nigdy nie zrobił z niej idiotki. Pewnie, w odróżnieniu ode mnie, nie miała odpowiedniego wykształcenia, by mu pomóc.

- Szczęściara z ciebie.

Carol ze smutkiem pokiwała głową.

- Może jesteśmy wobec niego niesprawiedliwe - zauważyła Jane, biorąc ciasteczko. - Żadna z nas nie ma pojęcia, jak to jest, kiedy odbierają ci jedyne dziecko, w dodatku tuż po śmierci żony. Za jednym zamachem stracił całą rodzinę. A teraz przeraził się, że Mayfieldowie będą apelować i wygrają, więc wolał zabrać małą w jakieś bezpieczne miejsce.

- To nie zmienia faktu, że mnie wykorzystał - powiedziała Carol, wycierając łzę z kącika oka. - Mógł chociaż raz do mnie zadzwonić, wysłać telegram, dać w jakiś sposób znać, że wszystko u niego w porządku. Najwyraźniej uznał, że nie jestem nawet tego warta. Zależało mu tylko na odzyskaniu dziecka, a ja byłam środkiem do osiągnięcia tego celu.

- A może coś mu się stało?

- Tak, tak, był handlarzem narkotyków i mafia go załatwiła.

- Przecież naprawdę nic nie wiemy. Mogło zdarzyć się wszystko.

- Obie umiemy wyciągać wnioski z oczywistych faktów. Tay pobrał pieniądze, zabrał dziecko, mnie porzucił i zniknął.

Jane sięgnęła po kolejne ciasteczko.

- Jest to, być może, prawda - powiedziała. - Wobec tego nie powinnaś dłużej rozpaczать. Musisz wrócić do życia. Jeny Ridges wydaje jutro świąteczne przyjęcie i pójdziesz tam ze mną.

Carol zamknęła oczy.

- Czy ja wyglądam na taką osobę, która ma ochotę na zabawę?

- Nie i dlatego musisz pójść. Będzie mnóstwo mężczyzn. Jeny zna całe miasto.

- Będę się głupio czuła...

- Chcesz tu siedzieć sama do końca życia i cierpieć?

- Tak.

- Carol, nigdy jeszcze nie widziałam cię w takim stanie.

- Bo pierwszy raz w życiu czuję się tak, jak ci ludzie, którzy opowiadają o swoich nieszczęściach w telewizji.

- Tobie telewizja niepotrzebna. Z tego, co mówisz, wynika, że o twoich problemach wie już cały świat - zauważyła złośliwie Jane.

- To wcale nie jest zabawne.

- Ja tylko próbuję cię trochę rozweselić. Chcesz spędzić święta gapiąc się na cztery ściany?

- Nie mam szczególnej ochoty na indyka z kasztanami i śpiewanie kolęd przy kominku - odparła ze smutkiem Carol.

- Nie rozumiem.

- Ciotka zaprasza mnie do Massachusetts, a John Spencer chce, żebym przyjechała do Strathmere i podpisała się pod aktem sprzedaży domu, ale ja postanowiłam zostać tutaj.

- Czy to znaczy, że dom jest już sprzedany?

- John twierdzi, że pośrednik ma już gotowy kontrakt, ale są jeszcze jakieś drobne problemy.

- Nie wydajesz się szczególnie tym zainteresowana.

- Nic mnie to nie obchodzi, Jane. John może dać całe pieniądze ze sprzedaży Glorii, albo nawet biednym. Mnie jest wszystko jedno.

- To może spędzisz Boże Narodzenie z moją rodziną? Wiesz, że moja matka cię uwielbia.

- W takim nastroju nie będę miłym gościem.

- Nie wygłupiaj się. Znasz moją rodzinę. Natychmiast się upiją i niczego nawet nie zauważą.

Carol zdobyła się na słaby uśmiech.

- Obiecuj, że się nad tym zastanowisz - poprosiła Jane.

- Zastanowię się, ale chyba nie przyjdę.

Ostry dzwonek do drzwi przerwał na moment tę rozmowę.

- Poczta - usłyszały głos listonosza.

- Mam odebrać? - spytała Jane.

- Jak chcesz. To i tak tylko rachunki.

Jane bosą podeszła do drzwi, otworzyła je i odebrała od listonosza przesyłki. Przejrzała je szybko, ale nadawca jednej bardzo ją zainteresował.

- Wydział Prawa Uniwersytetu New Jersey - przeczytała głośno. - Mam otworzyć? - spytała, widząc obojętną minę przyjaciółki.

Carol wzruszyła ramionami.

Jane rozerwała kopertę, wyjęła list i szybko przebiegła wzrokiem jego treść.

- Zdałaś - oznajmiła. Carol westchnęła głęboko.

- I to jest jedyna twoja reakcja? - spytała Jane. - Przecież to był cel twego życia, dopóki...

- Dopóki nie poznałam Taya - dokończyła za nią Carol.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Hip, nip, hura - mruknęła Carol.

- Ty rzeczywiście jesteś w depresji. Muszę cię stąd wyciągnąć. Chodź ze mną na to przyjęcie. Jeśli będziesz się źle czuła, wyjdziemy.

- Zawsze tak mówisz, a potem, kiedy chcę wyjść, znajdujesz jakąś wymówkę.

Jane położyła rękę na sercu.

- Obiecuję. Masz moje słowo. Jutro o siódmej musisz być gotowa. Włóż coś wystrzałowego.

Carol jęknęła.

- Na przykład tę niebieską suknię z aksamitu, w której wyglądasz tak seksownie - nie dała się zbić z tropu Jane.

- Jest poplamiona.

- Przymierz i sprawdź. Przyjadę autem pożyczonym od Julie, takim małym, czerwonym. Wyglądaj przez okno.

Carol kiwnęła głową, pocałowała przyjaciółkę w policzek i zamknęła za nią drzwi.

Wiedziała, że niebieska aksamitna suknia, o której wspomniała Jane, będzie na nią za ciasna w talii.

Podeszła do biurka i z górnej szuflady wyjęła test ciążowy.

Nazajutrz wieczór był pogodny, lecz chłodny. O siódmej, kiedy przyjechała Jane, Carol była już gotowa. Na ulicach nie było tłoku, szybko więc znalazły się przed domem Jerry'ego Ridge'a.

- Byłaś już tu kiedyś? - spytała Carol, kiedy jechały windą na piąte piętro.

- Tylko raz, ale wszystko dobrze zapamiętałam. Poprzednio też hałas zaprowadził mnie prosto do jego mieszkania.

Jane zapukała do drzwi, na których wisiał bożonarodzeniowy wieniec. Prawie natychmiast otworzył im jakiś obcy mężczyzna.

- Wchodźcie! - zawołał wesoło i zniknął w głębi mieszkania.

Jane i Carol wymieniły zdziwione spojrzenia.

- A gdybyśmy były złodziejkami?

- Jeny na pewno by się tym nie przejęła - zapewniła ją Jane.

Zdjęły płaszcze i weszły do pokoju tak pełnego ludzi, że jego umeblowania można się było tylko domyślać. Carol rozpoznała Jeny'ego, który ukończył studia dwa lata temu, i kilku innych znajomych z wydziału, ale szaleńcza muzyka uniemożliwiła jakąkolwiek rozmowę. W końcu poszły do kuchni, gdzie było dużo ciszej, i pomogły w robieniu kanapek.

Godzinę później Carol siedziała zamknięta w łazience i wymiotowała.

Nie od razu usłyszała natarczywe stukanie do drzwi. Podeszła do drzwi i wpuściła Jane.

- Znalazłam cię nareszcie!

- Niedobrze mi - jęknęła Carol. Zaniepokojona Jane zamknęła za sobą drzwi.

- Zjadłaś coś niedobrego? - spytała.

- Stało się coś niedobrego. Jestem w ciąży. - Jane ze zdziwienia otworzyła szeroko usta.

- Z Tayem?

- Nie, ze starym Jansenem, który zbiera szmaty w Strammere. Oczywiście, że z Tayem.

- Jesteś pewna?

- Tak. Wczoraj po twoim wyjściu zrobiłam sobie test ciążowy.

- Od jak dawna?

- Ponad trzy miesiące. To musiało się stać tamtej nocy, kiedy szalała burza. Żadne z nas nie było na to przygotowane, jeśli wiesz, co mam na myśli. Z początku myślałam, że z powodu stresu opóźnia mi się okres, nigdy zresztą nie był zbyt regularny, ale kiedy ubrania zaczęły się robić za ciasne, nie miałam już wątpliwości. A teraz ciągle jest mi niedobrze. Nie są to żadne poranne mdłości, wymiotuję przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. - Jane przysiadła na brzegu wanny.

- Biedaczka.

- To prawda.

- Myślałaś już, co zrobisz? Wkrótce będzie za późno na...

Carol przerwała jej gestem dłoni.

-Myślałam o tym. Od dawna podejrzewałam, że jestem w ciąży, test tylko potwierdził mój stan.

Jane milczała.

- Urodzę to dziecko. Wiem, że Tay to świnia, ale kochałam go. Wciąż go Kocham. Nie - powiedziała zdecydowanie. - Nie chcę znowu płakać.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Spadaj - krzyknęła Jane.

Stukający na szczęście nie był natrętny. Usłyszały odgłos oddalających się kroków.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytała Jane. - Nie ciągnęłabym cię na to przyjęcie, gdybym wiedziała, że masz dodatkowy problem oprócz...

- Oprócz ucieczki Taya - dokończyła Carol. Urwała kawałek papieru toaletowego i wytarła nim nos.

Jane skinęła głową.

- Zmywajmy się stąd? - poprosiła Carol. - Jeśli usłyszę jeszcze jedną kolędę, nie wytrzymam.

- Przyniosę płaszcze - powiedziała Jane, otwierając drzwi.

- Co tam przez tyle czasu robiłyście? - zainteresował się przechodzący korytarzem jeden z gości.

- Odwal się - warknęła Jane.

- Wesołych świąt - mruknęła Carol i podążyła za przyjaciółką.

W samochodzie omawiały po drodze plany na przyszłość. Jane nie chciała wejść na górę, więc Carol chwiejnym krokiem sama powlokła się po schodach.

Wychodząc, zostawiła palącą się lampę w kuchni, więc teraz w jej słabym, padającym przez drzwi świetle zobaczyła siedzącą w salonie jakąś postać. Zamarła i w ułamku sekundy całe życie, cała przyszłość przemknęły jej przez głowę.

- Nie bój się, Carol. To ja - rzekł, wstając, Tay. Patrzyła na niego oniemiała. Nie była w stanie się ruszyć.

- Mam przecież klucze. Na szczęście nie zmieniłaś zamków.

- Wynoś się. - Carol w końcu odzyskała głos.

- Carol, zaczekaj. Ja ci wszystko wytłumaczę...

- Wynoś się albo wezwę policję.

Tay wstał i przez chwilę zastanawiał się, co zrobić. Miał na sobie brązową, skórzaną kurtkę i ciemnozielony golf. Carol zdjęła płaszcz i sięgnęła po słuchawkę.

- Kochanie, wiem, że jesteś zła... - zaczął znowu Tay.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo - odparła. -Dzwonię na komisariat.

- Nawet mnie nie wysłuchasz?

- Nie. Nie obchodzi mnie, co masz mi do powiedzenia. Mam już dość twoich smutnych opowieści. Już jest sygnał. Chcesz zostać i posłuchać, jak wzywam policję? - Tay milczał.

- Jestem pewna, że Mayfieldowie też dostaną kopię mojej skargi - powiedziała złośliwie. - To im pomoże w apelacji, prawda?

- Zrobisz to? - spytał cicho Tay.

Carol wiedziała, że za chwilę straci panowanie nad sobą.

- Idź sobie - powtórzyła, nie patrząc na niego. - Nie chcę z tobą rozmawiać.

Tay odwrócił się i Carol odłożyła słuchawkę. Kiedy zamknęła drzwi, opadła bezwładnie na fotel. Przesiedziała w nim całą noc.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego dnia Carol jakoś się zmusiła, żeby pójść do pracy, ale jak tylko zobaczyła minę Harolda Smytha, wiedziała, że jej obowiązkowość była błędem.

- Kirkland jest w moim gabinecie - powiedział. -Chce z tobą porozmawiać.

Carol zamknęła oczy.

- Przepraszam, że moi znajomi przychodzą do biura - powiedziała.

- Tay przyszedł do mnie jako do swego adwokata, Carol. Ma problemy z Mayfieldami.

- Poważne? - zaniepokoiła się mimo wszystko Carol. Smyth skinął głową. Carol patrzyła na niego z niepokojem.

- Wysłuchaj tego, co ma ci do powiedzenia - poprosił Harold. - Wiem, iż uważasz, że on cię po prostu porzucił, ale naprawdę nie miał wyboru.

Carol milczała.

- Możecie porozmawiać w moim gabinecie. Dopilnuję, żeby nikt wam nie przeszkadzał - rzekł Smyth.

Carol przeszła przez korytarz i otworzyła drzwi do elegancko umeblowanego gabinetu szefa. Tay stał przy oknie i wyglądał na ulicę. Odwrócił się, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

Od razu zauważyła, jak jest smutny i zmęczony. Widziała, że i on uważnie ją obserwuje.

- Przepraszam cię, że wykorzystałem Smytha, by się z tobą spotkać - rzekł, wyjmując ręce z kieszeni grubych, wełnianych spodni. Carol musiała przyznać, że w zimowym stroju wygląda tak samo, jak w letnim - po prostu pięknie.

- Myślałam, że stosowanie szantażu jest poniżej twojej godności - powiedziała chłodno.

Tay westchnął ciężko.

- Przejdę od razu do rzeczy, bo widzę, że subtelnościami nic z tobą nie zdziałam - rzekł. - Musiałem ukryć Alicję, bo Mayfieldowie chcieli ją porwać.

Carol patrzyła na niego w milczeniu.

- Nie wierzysz mi? - spytał.

- Takie kiepskie kłamstwo to za mało, bym mogła wybaczyć to, co mi zrobiłeś - oznajmiła Carol.

Tay zgrzytnął zębami.

- Smyth przygotowuje wniosek o ograniczenie ich prawa do odwiedzin. Myślisz, że gdyby nie miał podstaw, wystąpiłby z czymś takim przeciwko milionerowi, który jest przyjacielem wielu polityków? Odpowiedz mi, jesteś przecież prawnikiem.

Carol spuściła wzrok.

- Wiem, że długo mnie nie było, ale potrzebowałem czasu, żeby przekonać policję, iż mam rację. Musieli przestuchać kilka osób...

- Jakich?

- Na przykład gospodynię Mayfieldów. To właśnie ona mnie ostrzegła. Kiedy przyjechałem po Alicję, wsunęła mi do kieszeni kartkę.

- I co na niej napisała?

- Że podsłuchała, jak Mayfieldowie planują porwanie Alicji ze szkoły. Potem chcieli ją wywieźć za granicę.

- Dlaczego ci o tym powiedziała? - Carol była dosyć sceptyczna.

- Znała mnie, kiedy jeszcze byłem mężem Alice, i uważała, że Mayfieldowie są wobec mnie bardzo niesprawiedliwi. Według niej Alicja należy do mnie.

Carol przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

- I nie mogłeś mi dać znać, gdzie jesteś?

- Oczywiście, że nie! Próbowali mnie wyśledzić, żeby odebrać mi Alicję, zanim uda mi się przekonać policję, że planują porwanie. Na ciebie też nasłali prywatnego detektywa - dodał po chwili.

Carol na moment otworzyła usta ze zdziwienia, ale szybko je zamknęła.

- Akurat.

- Naprawdę. Spytaj Smytha. Przeczytaj zeznanie gospodyni. Obserwowali cię, bo mieli nadzieję, że ich do mnie doprowadzisz. - Tay bezradnym gestem rozłożył ręce. - Dlatego nie mogłem się z tobą skontaktować.

Carol ciężko usiadła na krześle i próbowała pozbierać myśli.

- Nie mogłem pozwolić, by odebrali mi Alicję, Carol. Są tacy potężni, mogli ją wywieźć wszędzie i nigdy bym jej już nie zobaczył.

- Dokąd ją zabrałeś? - szepnęła Carol.

- Mam wujka, o którego istnieniu Mayfieldowie nie wiedzą. Mieszka w górach. Po prostu wziąłem zapas jedzenia i paliwa na drogę, wsadziłem Alicję do auta i ruszyliśmy, nie zatrzymując się po drodze. Nikt mnie nie widział. Mieliśmy kilka dni w zapasie, bo Mayfieldowie znowu pojechali na krótkie wakacje. Regina chciała odpocząć po trudach procesu. Kiedy zjawili się w moim domu, nas już tam nie było.

- Co powiedziałaś Alicji?

- Że jedziemy w odwiedziny do krewnego, którego jeszcze nie poznała. Kiedy przebywaliśmy u wuja już dość długo i zaczęła zadawać pytania, zapewniłem ją, że wkrótce wrócimy do domu. Jakoś się z tym pogodziła. Często jednak pytała o dziadków. Jest do nich bardzo przywiązana. O ciebie też pytała - dodał po chwili.

- Nie powiesz jej prawdy?

- Nie. Kiedy dorośnie i zainteresuje się, czemu na początku pozbawiono mnie praw rodzicielskich, to chyba jej o wszystkim powiem, ale na pewno nie wcześniej.

- Gdzie ona teraz jest?

- U mnie w domu. Pod opieką Mike'a i Madeline. Chcesz ją zobaczyć?

Carol pokręciła głową. Nie pozwoli, by jej uczucia do małej wpłynęły na stosunek do Taya.

- Nie chcesz mnie już więcej widzieć, Carol? Jeśli tak, to powiedz mi o tym i przestanę cię męczyć.

- Sama nie wiem - przyznała cicho Carol. - Muszę się zastanowić.

- Zastanowić? Nad czym? Albo mnie kochasz, albo nie.

- To nie tylko o to chodzi.

- A o co jeszcze?

- Są jeszcze inne problemy - szepnęła Carol.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - zaniepokoił się Tay i zrobił krok w jej kierunku.

Powstrzymała go ruchem dłoni.

- Nie możesz tak nagle znów pojawiać się w moim życiu po trzech miesiącach nieobecności, kiedy nawet nie wiedziałam, czy żyjesz, i spodziewać się, że przyjmę cię z otwartymi ramionami.

- Dlaczego nie?

- Ależ ty jesteś zarozumiała - uśmiechnęła się lekko Carol. - Myślisz, iż jesteś taki wspaniały, że każda kobieta, niczym Penelopa, będzie cierpliwie czekała na twój powrót?

- Myślałem, że ty mnie zrozumiesz.

- Przykro mi, że masz o mnie taką kiepską opinię -oznajmiła Carol, obróciła się na pięcie i opuściła gabinet.

Tay jeszcze długo stał i patrzył na zamknięte drzwi.

Trzy dni później Carol właśnie łykała swoją wieczorną porcję witamin, kiedy usłyszała stukanie do drzwi.

- To ja, Tay. Wpuść mnie.

Carol odstawiła szklankę i szła już ku drzwiom, kiedy zamki, jeden po drugim, zaczęły się otwierać. Przyciągnęła ciężką kanapę i zatarasowała nią wejście.

- Idź sobie, Tay! - krzyknęła.

- Wchodzę - odparł i zrobił to, co zapowiedział. Rzucił się po prostu na drzwi i otworzył je, odsuwając kanapę na środek pokoju. Carol w ostatniej chwili uskokczyła.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży? - wrzasnął z wściekłością.

Carol oniemiała.

- Jak... Skąd się... - przerwała, kiedy zrozumiała. - No, tak, Jane ci o tym powiedziała.

- Owszem i cieszę się, że była na tyle rozsądna, by poinformować mnie, że znowu będę ojcem.

Zatrzasnął za sobą drzwi, zdjął kurtkę i rzucił ją na krzesło.

- To moja sprawa. Tobie nic do tego - powiedziała krótko Carol, odwracając się od niego.

Tay chwycił ją za ramię i zmusił, by na niego spojrzała.

- Nosisz moje dziecko i uważasz, że to nie moja sprawa? - spytał z niedowierzaniem.

- Już od trzech miesięcy jestem w ciąży i do tej pory jakoś sobie bez ciebie poradziłam. Potem też obejdę się bez twojej pomocy.

- To niesprawiedliwe, Carol. Ja przecież nie wiedziałem...

- Bo nie pytałeś. Wiedziałaś, jak spontaniczna była ta nasza pierwsza noc i w ogóle się nie zastanowiłeś nad tym, jakie mogą być jej skutki.

- Chyba uznałem, że to niemożliwe.

- Wcale o tym nie myślałeś! Ja zresztą też nie. To się często zdarza.

- Chyba nie chcesz... - zaczął nieśmiało Tay.

- Nie. Ani przez chwilę nie dopuszczałam takiej możliwości.

Tay głośno przełknął ślinę.

- Carol, wiedziałaś, jak cierpiałem, kiedy rodzice żony odebrali mi Alicję. Jak mogłaś chcieć pozbawić mnie kolejnego dziecka?

- Ciebie pozbawić! Wygadujesz bzdury. Przecież ja nawet nie wiedziałam, gdzie jesteś!

- Kiedy kilka dni temu tu do ciebie przyszedłem, wiedziałaś, że jesteś ze mną w ciąży. Kiedy spotkaliśmy się w gabinecie Smytha, też o tym wiedziałaś. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Opowiadałeś mi te surrealistyczne historyjki o planach porwania i prywatnych detektywach. Miałam ci przerwać i oznajmić: „Wiesz, a tak przy okazji powiem ci, jestem w ciąży”?

- Miałaś zamiar w ogóle mi o tym nie powiedzieć? Chciałaś gdzieś zniknąć i urodzić to dziecko w tajemnicy przede mną?

- To ty jesteś specjalistą od znikania, Tay. Nie wszyscy są tacy samolubni.

- Chciałaś tak zrobić? - dopytywał się Tay.

- Nie wiem, nie wiem - odparła Carol, chwytając się za skronie. - Jeszcze tego wszystkiego nie przemyślałam - dokończyła cicho. Nagle zbladła i wybiegła z pokoju.

- Co się stało? - spytał zaniepokojony Tay, kiedy po kilku minutach wróciła.

- Nic - odparła, siadając w fotelu. - Po prostu zrobiło mi się niedobrze. Ostatnio mam dwa nowe problemy. Często wymiotuję i nie mieszczę się w ubrania. Jeśli masz zamiar dłużej tu się pokręcić, będziesz sobie to mógł poobserwować.

Tay poszedł do kuchni i przyniósł jej szklankę pełną wody.

- Owszem, mam zamiar się tu pokręcić - oznajmił. Carol duszkiem opróżniła szklankę.

- Carol, nie chcę cię denerwować, ale zdaje się, że to właśnie robię - powiedział.

Nie zaprzeczyła.

- Ty też wiesz, że musimy porozmawiać - mówił dalej.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz gotowa. Ja poczekam. Wiesz, gdzie mieszkam.

Carol z ulgą skinęła głową. Gotowa była zgodzić się na wszystko, byle tylko Tay wyszedł, zanim straci resztki godności i rzuci mu się w ramiona.

- No, to już pójdę - rzekł, podchodząc do drzwi.

- Tay?

Przystanął i spojrzał na nią z nadzieją.

- Oddaj moje klucze.

Postulznie wyjął je z kieszeni i nie patrząc na nią, rzucił na stół.

- Dobranoc - powiedział cicho i wyszedł. Carol zamknęła oczy.

Tay chodził po mieszkaniu, od czasu do czasu rzucając okiem na stojącą w rogu pokoju choinkę i leżące pod nią prezenty. Alicja wyszła z Madeline kupić jakiś podarunek dla niego i Tay był szczęśliwy, że jeszcze trochę odwlecze się tłumaczenie, czemu w tym roku nie odwiedzi podczas świąt dziadków. Zawsze był dumny z jej inteligencji, ale mądre dzieci zadają dużo pytań i dorośli nie zawsze umieją znaleźć na nie odpowiedź. Teraz, mając przy sobie Alicję, mógł myśleć tylko o Carol i o tym, jak ją odzyskać.

Od ostatnich odwiedzin w jej domu nie miał od niej żadnych wiadomości i zaczynał się bać, że już zawsze tak będzie. Nazajutrz była Wigilia, a on nie wyobrażał sobie tych świąt bez niej.

Tak, uświadomił sobie, że odzyskał Alicję za cenę utraty Carol.

Łzy napłynęły mu do oczu. Czyżby popełnił błąd? Czy mógł zrobić coś innego, kiedy dowiedział się, że Mayfieldowie chcą porwać Alicję? Nie miał wtedy czasu na myślenie. Musiał ukryć córkę w bezpiecznym miejscu i z góry założył, że Carol to zrozumie. Ona jednak poczuła się samotna, opuszczona i nie mogła mu tego wybaczyć.

Te smutne rozmyślenia przerwał dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę, myśląc, że to Mike, który miał mu zameldować o zakończeniu pracy.

- Tak?

- Tay? Tu Carol.

- Cieszę się, że dzwonisz. - Tay natychmiast zmienił ton głosu.

- Może byś przyjechał do mnie jutro wieczorem? Wiem, że może być duży ruch, bo nadchodzą święta, ale miałeś rację, mówiąc, że powinniśmy porozmawiać...

- Przyjadę - odparł szybko Tay. - O której?

- Spotkajmy się o szóstej. Wyjdę z pracy koło piątej, więc będę miała czas, żeby...

- Będę o szóstej - przerwał jej Tay. - Do zobaczenia. Szybko odłożył słuchawkę, bo bał się, że Carol może się rozmyślić. Ciekawe, czy będzie to ich ostatnie spotkanie? A może da mu jeszcze jedną szansę? Przez chwilę nad czymś się zastanawiał, potem zaczął wprowadzać swój plan w życie. Wykręcił numer pewnej nowojorskiej firmy.

Nazajutrz Carol rzeczywiście udało się wyjść z biura nieco wcześniej. Mimo świątecznego tłoku i padającego śniegu szybko znalazła taksówkę.

Podana szoferowi adres i, wygodnie rozparta na siedzeniu, przyglądała się rozświetlonemu Nowemu Jorkowi i hałaśliwym tłumom ludzi uganiających się za świątecznymi prezentami. Myślała o tak już bliskim spotkaniu z Tayem i nie była pewna, czy to, co czuje w brzuchu, to skurcze radosnego oczekiwania, czy pierwsze, nieśmiałe ruchy dziecka. Droga tak szybko jej minęła, że zdziwiła się, kiedy taksówka zatrzymała się przed jej domem.

- Wesołych świąt - powiedział taksówkarz, zadowolony z dużego napiwku.

- Wzajemnie - odparła Carol, zatraskując drzwiczki. Zamyślona, weszła na górę i dopiero w ostatniej chwili zauważyła padającą spod drzwi jej mieszkania smugę światła. Nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Z duszą na ramieniu pchnęła je i weszła do środka.

Zrobiła pierwszy krok i stanęła jak wryta. Pośrodku salonu królowała ubrana choinka, a pod nią prezenty. Obok na krześle siedział uśmiechnięty niepewnie Tay.

- Co to jest? - spytała, rzucając torebkę i teczkę na kanapę.

- A jak myślisz? Wesółych świąt.

- To zjawianie się w moim mieszkaniu podczas mej nieobecności weszło ci już chyba w krew. Jak się tu tym razem dostałeś, Tay? Przecież oddałeś mi klucze.

- Ale najpierw Mike zrobił mi duplikaty - wyjaśnił bardzo dumny z siebie Tay. - Już kiedy ci je oddawałem, miałem zapasowy komplet.

- Jesteś bezczelny - stwierdziła Carol, zdejmując płaszcz i botki.

- Wiem.

- Ale choinka jest piękna. Dziękuję. W tym roku nie miałam sił ani czasu, żeby o tym pomyśleć...

- Wszystko gotowe. Kolacja w piekarniku.

- Nie mów, że sam coś ugotowałeś - zaśmiała się Carol.

- Nie. Kupiłem pieczonego indyka w restauracji. Wstawiłem go do piekarnika, żeby był ciepły.

- O wszystkim pomyślałeś. Tay podszedł i wziął ją za rękę.

- Ależ ty zmarzłaś - rzekł. - Usiądź przy mnie. Podprowadził ją do kanapy.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której pomyślałem - powiedział, kiedy usiedli.

- Co takiego?

- Nigdy ci nie mówiłem, że cię kocham. W każdym razie nie tak wprost.

- Tak, wiem.

- Naprawdę nie chciałem tak długo zwlekać. Czułem to i wiedziałem, że tak jest, ale coś we mnie mówiło mi, że te słowa powinny być zarezerwowane dla Alice.

- A teraz?

- Ona nie żyje, a my tak. Kiedy wyjechałem, zrozumiałem, że naprawdę cię kocham i że powinienem ci o tym powiedzieć. Kocham cię.

Carol z trudem powstrzymywała łzy.

- Kiedyś już prosiłem cię o rękę i zgodziłaś się. A teraz? Nadal jesteś na mnie zła?

- Mniej niż poprzednio - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

- Myślisz, że to minie?
 - Nie wiem. Daj mi trochę czasu.
 - „Trochę" to znaczy ile?
 - Nie wiem, Tay. Nie spodziewaj się, że zapomnę o wszystkim tylko dlatego, że wróciłeś i chcesz wszystko naprawić. Zaprosiłam cię tu dzisiaj, żeby ci powiedzieć, że potrzebuję czasu i nie mogę tak od razu podjąć decyzji.
 - Czy to znaczy, że mnie już nie kochasz?
 - Tego nie powiedziałam. Ale jest jeszcze dziecko. O nim też muszę myśleć.
 - Czy jakiegokolwiek dziecko może być szczęśliwe, nie mając ojca?
 - Nie męcz mnie, Tay! Nie było cię tyle czasu, a ja nie mogę w ciągu pięciu minut o wszystkim zapomnieć. Czy ty tego nie rozumiesz?
 - Zawsze myślałem, że nie jesteś mściwa.
 - Nie mszczę się na tobie. Nie jestem dzieckiem. Mówię ci tylko, że jeśli mnie kochasz, jeśli chcesz być ojcem naszego dziecka, musisz poczekać.
 - Na co?
 - Aż zdecyduję, co robić.
 - O czym tu decydować? Albo chcesz, żebym był twoim mężem i ojcem tego dziecka, albo nie.
 - Może cię to zdziwi, ale po tych przykrych doświadczeniach perspektywa zostania twoją żoną nie jest już tak ekscytująca.
- W kuchni zadzwonił minutnik, więc Carol poszła i wyłączyła piekarnik.
- Doceniam tę choinkę i wszystko inne. Ale to jednak za mało, bym zapomniała, jak bardzo cierpiałam, kiedy cię nie było.
 - Nie miałem wyboru. A skoro tego nie rozumiesz, to rzeczywiście nie ma o czym mówić.
 - Chyba masz rację.
 - Co z nami będzie? Mogę do ciebie zadzwonić? Czy mam czekać na twój telefon?
 - Zadzwonię, jak będę ci miała coś do powiedzenia.
 - Czyli być może nigdy? Carol nie odpowiedziała.
 - Nie zrezygnuję z was. Możesz być tego pewna -rzekł Tay, stojąc u progu.

Carol patrzyła przez łyzy, jak zamykają się za nim drzwi.

Tay dotrzymał słowa. Przez następne dwa miesiące zjawiał się w jej biurze co najmniej raz w tygodniu i wszyscy już przywykli do jego obecności.

- On tu znowu jest. Tym razem z córką - oznajmiła pewnego lutowego popołudnia sekretarka.

Carol spojrzała na zegar. Była czwarta trzydzieści. Uznała, że ostatecznie może im poświęcić najbliższe pół godziny.

W holu, na kanapie, czekał Tay wraz z Alicją. Mała natychmiast rzuciła jej się w ramiona.

- Tęskniłam za tobą! - wyznała, kładąc rękę na brzuchu Carol. - Mogę poczuć dziecko?

- Chyba się w tej chwili nie rusza - odparła Carol, spoglądając nad głową dziewczynki na jej ojca.

- Ależ tak, tak! - zawołała podniecona Alicja. - Kopie! - Przez chwilę stała jak zaczarowana, potem spojrzała Carol prosto w oczy. - Kiedy wyjdiesz za mojego tatę?

- Alicjo, idź do mojego pokoju. Na stole są ciasteczka i cola w lodówce - powiedziała Carol, obrzucając Taya krótkim spojrzeniem. - My sobie chwilę porozmawiamy.

- Dobrze - zgodziła się dziewczynka.

- Wejdzmy do sali konferencyjnej - zaproponowała Carol, kiedy zostali sami. Otworzyła drzwi i pierwsza weszła do środka.

- To tu podejmujecie najważniejsze decyzje? - spytał Tay, rozglądając się dokoła.

- Przynajmniej niektóre.

- Przyszedłem, żeby ci coś dać - zaczął wyjaśniać swą wizytę.

- Co takiego?

Wyjął z kieszeni jakąś kartkę i podał ją Carol. Był to akt sprzedaży jej domu w Strathmere.

- Skąd to masz? - zaniepokoiła się.

- Spójrz, kto jest nabywcą.

- Spółka Hanover, przecież wiem - odparła. Tay patrzył na nią w milczeniu.

- Zaczynam rozumieć - powiedziała wolno. - Spółka Hanover to ty.

Kirkland skinął głową.

- Utworzyłem tę podfirmę, żeby nabyć twój dom. Hanover to panieńskie nazwisko mojej matki.

- Czy John Spencer o tym wiedział?

- Tak.

- A więc to był spisek?

- Zrobiliśmy to w dobrej wierze. Nie chciałem, żebyś straciła ten dom, ale gdybym ci zaproponował jego kupno, na pewno byś się nie zgodziła.

Carol milczała.

- No i co?

- Nie wiem, co powiedzieć. Czy to nie jest łapówka?

- Nazwij to ofertą pokojową.

- Proponujesz zawieszenie broni?

- Owszem - rzekł zdecydowanie Tay. - Już aż nadto odpokutowałem za moje grzechy, a poza tym za niecałe trzy miesiące urodzi się nasze dziecko. Jeśli teraz za mnie wyjdiesz i pozwolisz mi dać mu moje nazwisko, to obiecuję ci, że jeśli w dniu jego urodzin nie będziesz oczarowaną mną i moją córką, dam ci natychmiast rozwód.

- Rozwód?

- Tak.

- Więc proponujesz małżeństwo na próbę?

- Nie, na stałe. Robię to ustępstwo tylko dla ciebie.

- Aż tak bardzo chcesz się ze mną ożenić? - spytała po chwili milczenia Carol.

- Aż tak bardzo.

- Dobrze - odparła z westchnieniem Carol.

- Co: dobrze?

- Dobrze, wyjdę za ciebie. I nie na próbę. Jeśli już, to na zawsze.

- Naprawdę?

- Tak.

Tay jednym susem przemierzył dzielącą ich odległość i chwycił Carol w ramiona. W tej samej chwili do pokoju weszła Alicja z torbą chipsów w ręce.

- Carol i ja bierzemy ślub - poinformował ją ojciec.

- Hurra! - krzyknęła dziewczynka i upuściła torbę z chipsami.

- Chodźmy to uczcić - zaproponował Tay i cała trójka, trzymając się za ręce, opuściła salę konferencyjną.

Na podłodze pozostały rozdeptane chipsy.